Nr. 33 (24) Lwów, dnia 20. Listopada 1888 r. Rok I (II)



Pismo poświęcone literaturze, sztukom pięknym, nauce i sprawom społecznym.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** złr., półrocznie **3** złr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz. **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawcy: **Józef Rogosz i Stanisław Błotnicki.** — Redakcja i Administracja *„Ruchu i Wieczorów zimowych"* **w drukarni nar. W. Manieckiego ulica Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Ruch i Wieczory zimowe" **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1-go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Pan Miliński tak się lękał interesu z baronem, że postanowił raz jeszcze z żoną się rozmówić; dopiero gdyby od niej znów niezadowalniającą otrzymał odpowiedź, miał po pieniądze do Komarowa pojechać. Ponieważ w przykrym tym przedmiocie rozmowa miała być stanowcza i ostatnia, przeto rozmyślnie szukał sposobności, żeby żonę zejść razem z matką i przed niemi obiema sprawę wytoczyć.

Wkrótce mu się to powiodło.

W pierwszej chwili, gdy wspomniał o interesach, hrabina powstawszy, chciała zaraz odejść, tem się zasłaniając, że to jej nie obchodzi i że między męża a żonę, mięszać się nie myśli. Gdy jednak on zrobił jej nadzieję, że to co usłyszy, będzie bardze ciekawe, dała się uprosić i została.

Mąż jak dawniej, tak i teraz mówił o potrzebie nadzwyczajnej oszczędności w domu i o zakasaniu rękawów, bo inaczej majątek gotów przepaść. Pierwszym razem był dosyć oględny i pozwalał się żonie więcej domyślać, niż sam powiedział; przeciwnie dziś był już całkiem jasny. Pani Eleonora nie udawała tedy iż nie wie, do czego mąż zmierza, tylko tak samo jak wówczas kategorycznie mu odpowiedziała, że dziewką nie będzie i krów nie myśli doić. To co od niej usłyszał, było przynajmniej w dobrą formę odziane; matka natomiast osądziwszy, że jeźli kiedy to teraz ulży swemu sercu, według jej przekonania bowiem znalazło się coś takiego, co jej zięcia w najgorszem świetle przedstawiało, zaczęła mu robić wymówki, iż skarb, który mu w zaufaniu powierzyła chce zmarnować; że ideał, który wychowała i wykształciła, pragnie podeptać; że z żony, którą wielbić powinien, chce mieć sługę! Hrabina w rozmowie była podobną do rumaka arabskiego, który dopiero gdy pot poczuje, coraz szybciej idzie. Z początku więc mówiła dosyć spokojnie, lecz gdy pierwszy kwandrans upłynął, a zięć nie wystąpił z opozycją, zaczęła mówić coraz szybciej i namiętnej, póki nie skończyła patetycznym okrzykiem, że jej córka najdroższa, ta cudowna Elunia, którą Rafael powinien był malować, a Petrarka opiewać, jest najnieszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Mąż widząc z wyrazu twarzy żony, że te przekonania w zupełności podziela, a jeno wstydzi się z niemi wystąpić; przytem bojąc się, by teściowa nie zakończyła tej sceny spazmami i palpitacją serca, uznał za rzecz najwłaściwszą opuścić plac boju, na którym na głowę został pobity. Nie namyślając się więc długo, wyszedł na palcach i nawet nie powiemy, by miał minę zafrasowaną. On idąc tu, z góry wiedział, jaką odpowiedź otrzyma, lecz szedł po nią, aby w przyszłości nie potrzebował sobie nic wyrzucać.

Ledwie za nim drzwi się zamknęły, hrabina w najwyższym stopniu rozgoryczona, rzuciła się na szyję córki z głośnym płaczem.

— Eluniu! Dzięcię moje! Pociecho i podporo mojej starości! — wołała. — Przebacz mi! przebacz!

— Cóż ja mamie mam przebaczyć?

— To, żem cię zgubiła! Ale ty wiesz, żem niewinna, że chciałam najlepiej. To on zamaskował się i tak okropnie nas oszukał! Przypominasz sobie przecie, jak troskliwie wypytywałem w Marjenbadzie wszystkich Polaków o jego stosunki. Mówili mi, że to człowiek zamożny, on sam opowiadał także wiele o Trzcińcu, jakby to był ósmy cud świata, tymczasem wszystko było kłamstwo! Zamiast opływać w dostatki, bawić się, podróżować, ty siedzisz jak pustelnica, a teraz on ci jeszcze śmie mówić o swoich złych interesach, jak gdyby ty była temu winna! Jakiż to brak uczuć delikatnych w tym człowieku, co to za brutalność! Tyś mu oddała w zaufaniu cały swój posag, mój Boże! z nieboszczykiem twoim ojcem takeśmy uczciwie na te pieniądze pracowali, nie żądałaś żadnego zabezpieczenia, a on pozwala ci się teraz domyślać, że może już niezadługo nie będziesz miała co jeść! O! dziecię! córko najdroższa! przebacz mi, przebacz!

— Niech mama nie desperuje i uspokoi się — córka przemówiła. — Ręczę że nie jest tak źle, jak nam to mówił... Prawdopodobnie chciał tylko to osiągnąć, bym jeszcze bardziej jego woli podlegała, nic więcej. Nawet bardzo być może, że go ktoś do tego namówił, wuj lub proboszcz, dziś bowiem w całej Wielkopolsce tyle piszą i krzyczą o potrzebie oszczędności, że się aż niedobrze robi... Ale mama może być spokojną. Gdy się ze mną żenił, nie żądał odemnie przyrzeczenia, że mu będę sługą, więc i teraz niech to sobie wyperswaduje. W ostateczności wolałabym sprowadzić się do miasta i tam lekcyj udzielać, niż na wsi schłopieć.

— Masz rację, moje dziecko najdroższe!—matka z uniesieniem zawołała. — W mieście ma się przynajmniej towa-

rzystwo, ludzie ludzi potrzebują, teatr, różne rozrywki, o tu co? Gdyby nie Wągrowscy, przyszłoby z nudów zdesperować. Tak, tak, w najgorszym razie przeniesiesz się do miasta, ja ci tam chętnie będę pomagała, tylko na litość boską nie daj się podeptać, bobym umarła.

— Jeszcze raz powtarzam, że od mego nie odstąpię. Zresztą dam głowę, że on do tego przedmiotu więcej nie wróci, gdyż przeczucie mówi mi, że ktoś go do tego namówił.

— Wiesz co Eluńcu, twoje przypuszczenie jest trafne... Skoro przez sześć lat nigdy ci o tem nie wspominał, więc niewątpliwie ktoś go namówił. Lecz kto? Ten wół podolski z pewnością nie, bo on sam je i pije jak Gargantua, ksiądz o ile mi się zdaje, także by się do tego nie mięszał, ale... ale... Wiesz moje dziecko kto tu z pewnością intryguje? — nagle zawołała i oczy srogim gniewem jej błysnęły.

— Proszę powiedzieć, bo ja się nie domyślam.

— To nikt inny moje dziecko, tylko Antoszka! Ona ma takie gusta poziome, że na wyżynę, na której ciebie widzi, nawet w myślach wznieść się nie może. Ideały i piękno, to pojęcia, których ona nawet nie rozumie! Ale ponieważ każda wyższość niezmiernie nam imponuje i zazdrość w nas budzi, więc też i ona z nikczemnej zazdrości, chciałaby do tego doprowadzić, żeby twój mąż ściągnął cię z piedestału na którym się znajdujesz i wtrącił cię w to błoto, w którem ona tak chętnie przebywa. Tak, tak, Antoszka wywiera na niego wpływ ogromny, ciągle z nim chodzi, rozmawia, konferuje, trzeba się moje dziecko mieć na ostrożności.

— Więc mamaby sądziła? — córka zapytała, lekko brwi ściągając.

— Ja nic nie sądzę i nie przypuszczam, ale zawsze pamiętaj że strzeżonego Bóg strzeże.

Pani Eleonora wzruszyła ramionami z politowaniem, przy czem na jej ustach zjawił się uśmiech pełen wzgardy. Podniosła się zwolna i stanąwszy przed zwierciadłem, zaczęła sobie kwiaty we włosach poprawiać, przyczem mówiła:

— Mnie to ani w głowie, moja mamo... chybaby oczu nie miał.

— Pewnie, pewnie — matka potwierdziła — chociaż z drugiej strony mężczyznie nigdy nie można ufać, zwłaszcza tym, co od urodzenia mają gusta poziome. Ale masz rację, to być nie może — prędko się poprawiła, widząc że córka jakoś szczególnie na nią patrzy — kto tak doskonałą jak ty, posiada istotę, ten nie mógłby przecie upaść aż tak nisko... Nie, nie, to niepodobne do prawdy.

— I ja tak sądzę — pani Eleonora spokojnie zakończyła.

Podczas gdy pan Miliński rozmawiał z żoną i teściową, Antosia wziąwszy wszystkie dzieci, wyszła z niemi na przechadzkę. Tym razem jej celem był lasek. Dzień nie był już tak gorący jak poprzednie, wiatr przyjemny ciągnął od wschodu.

Droga prowadziła kawałek brzegiem jeziora, potem skręcała w lewo, między pola świeżo poorane. Minąwszy ją dość prędko, Antosia weszła do lasu i z dziećmi na ziemi usiadła. Ich szczebiot i śmiechy wesołe, sprowadziły tu wkrótce osobistość rzadko widywaną w tych stronach, barona Fryderyka. Wyszedłszy także na przechadzkę, odpoczywał on o kilkadziesiąt kroków głębiej, lecz gdy usłyszał, że drobne pokolenie państwa Milińskich, przyszło tu po to samo, został i do dzieci się zbliżył.

W pierwszej chwili bardzo się go przestraszyły, wnioskując z daleka po jego czarnem ubraniu, że to kominiarz, lecz gdy do nich przystąpił, poznały w nim owego pana, z którym tatuś i mamusia rozmawiali nie raz koło kościoła. Chociaż archeolog nie mówił po polsku, dzieci zaś nie umiały jeszcze ani po niemiecku, ani po francuzku, (tym drugim władał on doskonale i nim rozmawiał teraz z Antosią) mimo to, gdy się uśmiechnął i ręką skinął, zaraz do niego przybiegły, aby go męczyć po swojemu. Jańcia chciała go koniecznie po polsku nauczyć i w tym celu ciągle do niego wołała: Mów jezioro! Mów sosna! Mów ziemia! co on, jak mógł powtarzał, Staś zaś kazał się to na kolano brać, to zegarek sobie pokazywać, to wreszcie usiłował mu wyjąć z krawata dużą szpilkę brylantową, której blask niezwykły ciekawość w nim budził. Archeolog chętnie wszystko czynił, czego dzieci od niego żądały i dopiero gdy go już tak zmęczyły, że prawie nie mógł odetchnąć, Antosia widząc to, sama je do siebie przywołała. Odtąd z nią tylko rozmawiał.

Po upływie pół godziny powstał, Antosi podał rękę na pożegnanie, dzieci ucałował i odszedł. Jańcia, lubiąca figle, odprowadziła go kawałek, ciągle mu przez drogę powtarzając: Mów drzewo! Mów bór! Mów woda!

— Poczciwy jakiś człowiek, chociaż dziwak — Antosia myślała.

Wkrótce po nim zjawił się pan Miliński. Wyglądał jak zwykle, patrząc nań, niktby się nie domyślił, że przed chwilą miał nieprzyjemną rozmowę z żoną i teściową. Nikt krom Antosi. Ta jedna takie miała oko i tak szwagra znała, że choćby nie wiedzieć jak przed nią taił właściwy stan swojej duszy, nigdy mu się to w zupełności nie udało. Gdy nadchodził, z daleka już zauważyła, że nie był swój. Mimo to o nic go nie pytała, by zbytnią ciekawością nie drażnić go bezpotrzebnie.

— Ledwiem was znalazł — zawołał, rzucając się na murawę. — Wiesz Antosiu, co nas jutro spotka?

— Cóż takiego?

— Czy dałabyś wiarę, że baron Maurycy Zarnecke zjeżdża jutro do nas z pierwszą wizytą, ma się rozumieć razem ze swoją magnifiką? Przed chwilą zapytywał mnie przez umyślnego posłańca czy będę w domu. Ma się rozumieć, żem odpowiedział potwierdzająco, ale dam temu konia z rzędem, kto mi powie, co to wszystko znaczy. Wprawdzie ja w Trzcińcu trochę dłużej mieszkam, niż on w Komarowie, lecz za to ożeniłem się później od niego, jeźli kto więc, to ja powinien bym być pierwszy u niego, jeźli ma się rozumieć, bywanie u Niemca i przyjmowanie go u siebie, poczytywałbym za coś dobrego i przyjemnego. Skoro m się nie spieszył, mógł i on tak samo postąpić, wszakże gdy inaczej się namyślił, rad nie rad muszę go teraz przyjąć i być grzecznym, zwłaszcza że mam z nim interesa.

Antosia prędko się domyśliła, kto do Trzcińca barona sprowadzał, wszelako uznała za stosowne, ani słówkiem o tem nie wspomnieć.

— Bardzo być może — rzekła — że i baron Fryderyk z nimi przyjedzie, przed chwilą był tu w lesie, chociaż dawniej nigdy się na nasze terytorjum nie zapuszczał.

— Ciągną wilki, ciągną za taborem, trupy wietrząc— mruknął pan Miliński niezrozumiale, jednakże prędko poprawił się i rzekł głośniej: — Bardzobym mu był rad, gdyby się z nimi pokazał, bo mimo swoich dziwactw, człowiek to wcale do rzeczy i o ile mi się zdaje, z dobrem sercem.

— Nawet ma bardzo dobre serce! — Antosia potwierdziła. — Nie dałbyś wiary Henryku, jak on tu twoje dzieci pieścił, całował, a ile go one nameczyły. Wszystko zniósł spokojnie...

— Aż tak było? No, no, kto by się po tym zasuszonym archeologu czegoś podobnego spodziewał... Cieszyłoby mnie więc prawdziwie, gdyby przyjechał, ale wątpię czy to nastąpi, on bowiem żyje z bratem jak pies z kotem.

— Rzeczywiście?

— Tak wszyscy mówią. Nie tyle może religja ich różni co przekonanie. Fryderyk to uczony, Maurycy to czystej krwi krzyżak... Ale ty moja biedaczko dobrze się jutro namęczysz, jak tyle gości się zjedzie, dałbym nie wiedzieć ile za to, że Węgrowscy także za nimi przyciągną. Huczno więc będzie w Trzcińcu, huczno i wesoło, bo nic nie brakuje tylko gości... Doprawdy żal mi ciebie Antosiu, jak pomyślę że będziesz musiała tyle o wszystkiem myśleć...

— To najmniejsze Henryku... byleś ty był zadowolony.

— Ależ będę, będę... zwłaszcza, że pani hrabina będzie miała komers nie lada, a moja pani przy tej sposobności popisze się także tualetą. Ich szczęście będzie zatem i moje... Istotnie, to są przyjemności, o których rzadko kto ma należyte wyobrażenie... Ciekawym jednak co się stanie, gdy nam ciebie kiedyś braknie. Radbym wiedzieć kto się wtedy będzie wszystkiem zajmował i czy moja pani prócz klucznicy, nie będzie jeszcze potrzebowała, damy do towarzystwa.

— A dla czego miałoby mnie braknąć? Czy może nie chcesz Henryku, bym nadal u was mieszkała?

Ton jej głosu drżał i oczy niespokojnie w niego się wpatrywały.

— Cóż bo ci znowu na myśl przyszło, dziewczyno! — rzekł, za rękę ją biorąc. — Jak długo jesteś u nas, tyle mego spokoju i przynajmniej względnego szczęścia, ale przecie wszystko musi się kiedyś skończyć.

— Czemu?

— Czemu? Wszak czas upływa, ty biedna Antosiu powinnaś o sobie pomyśleć... wyjść za mąż...

— Nie mów mi o tem Henryku, nie mów! — żywo zaprotestowała.

— Teraz nawzajem ja ciebie zapytam, czemu?

— Dla tego mój Henryku, że ja sama nigdy o tem nie myslę i...

— I co?

— I nie pragnę tego...

— Nie pragniesz? To źle moje dziecko... Kobieta, nie będąca żoną i matką, nie jest pełną kobietą, bo rozmija się ze swojem przeznaczeniem, o ile zaś ciebie poznałem, nie mogę nawet przypuścić, iżbyś podzielała zapatrywania twojej matki, dla której, jak to sama nie raz mówiła, macierzyństwo było największem nieszczęściem. Ty przeciwnie kochasz dzieci, więc dla czego miałabyś małżeństwu być przeciwną?

Mówiąc to, wpatrywał się w nią uważnie. Ona spuściła wzrok zawstydzony, ale nic nie odpowiedziała. Przez cały ten czas jej ręka spoczywała w jego dłoni.

— Więc cóż? — napierał.

— Mówmy o czem innem, Henryku — szepnęła.

— A czemu nie o tem, skoro to temat taki piękny, przytem ludzki?

Zebrała nareszcie odwagę i tak odrzekła:

— Wiesz Henryku, że znając siebie dobrze, bynajmniej nie łudzę się co do mojej osoby... Zresztą powtarzano mi to od dziecka, że nie jestem ładna, że niemam dowcipu, że jeźli mnie kto weźmie, to dla pieniędzy.

— Chyba jedna matka mogła coś podobnego mówić — szwagier jej przerwał.

— Mniejsza o to kto mówił, dość że mówił prawdę... Ja wiem, mój Henryku, że nie posiadam przymiotów, których mężczyźni pragną i poszukują, więc dla czegoż miałabym łudzić się nadziejami, które nigdy ziścić się nie mogą? Ja bym przecie za pierwszego lepszego nie wyszła, bo mimo tylu niedostatków, które ze mnie zrobiły kobietę upośledzoną, mam i ja serce tęskniące do ideału i szczęścia. Gdy zaś taki, jakiego ja pragnę, mnie nigdyby nie poślubił, więc czemu, pytam, mam ścigać ułudę, która się nie urzeczywistni? Czyż nie lepiej zapomnieć o sobie, zwłaszcza że ta moja osoba tak mało waży na świecie, a za to myśleć o innych, dla których mogę się przydać?

— Dziewczyno, ty mówisz jak asceta, wyrzekający się szczęścia dla ludzkości! Zresztą nie sądź że mężczyźni wszyscy jednacy, że każdy z nich w kobiecie tylko powierzchowność ceni. Przymioty duszy i serca mają dla nich stokroć większą wartość!

— Ale kiedy? — zapytała.

Dwa te słowa wywołały wrażenie, które nawet przez myśl jej wtedy nie przeszło, gdy je wymawiała. Inaczej byłaby tego z pewnością nie uczyniła. Henryk zbladł, zmarszczył czoło i na ostrych jego rysach osiadł wyraz głębokiej boleści, na ustach zaś pojawił się gorzki uśmiech.

— Masz rację Antosiu... Oni dopiero wtedy zaczynają w kobiecie cenić przymioty duszy i serca, gdy wpierw bądź przesycą się jej wdziękami, bądź gdy dłuższe z nią pożycie przekona ich, że owe piękno zewnętrzne, co ich usidłało, było grobem pobielanym, ukrywającym w swojem wnętrzu popiół, próżność i nicość! Masz rację Antosiu... większość mężczyzn jest taką, nie inną, ale ponieważ i między nimi znajdują się wyjątki, przeto ufaj, że znajdziesz jednego z tych wybranych, bo jeżeli kto, to ty na to zasługujesz. Tak, tak, Antosiu, nie każdy mężczyzna idzie ślepo za wrażeniem co przez wzrok w jego głąb padając budzi tam ślepą namiętność, nie każdy jest nikczemny, są i między nimi ludzie, a nie same zwierzęta!

Antosia nie pamiętała, by Henryk był kiedy tak rozdrażniony. Przelękła się, że słowami niebacznie wypowiedzianemi, spowodowała takie następstwa, lecz co się raz stało, tego nie było już można cofnąć. Chciała więc na inny przedmiot rozmowę skierować, zaczęła nawet mówić coś o dzieciach, wszelako szwagier, w sprawie, którą poruszył, chciał z jej ust ostatnie słowo usłyszeć.

— Czyż to, coś teraz odemnie usłyszała — mówił — nie godzi cię jeszcze z mężczyznami? Dla czego nie miałabyś ufać, że znajdziesz człowieka, jakiego jesteś godna, a jakiego ja ci życzę?

— Henryku! jeżeli mi rzeczywiście dobrze życzysz, a nie wątpię o tem, to zrób mi jedną łaskę, nigdy więcej nie mów ze mną o małżeństwie. Zostawmy to czasowi i Opatrzności... Muru głową nie przebijesz, powiada przysłowie — mówiła dalej uśmiechając się żałośnie — ja szczęścia siłą także do siebie nie przyciągnę, jeżeli mi tego Bóg nie przeznaczył. Ilekroć zaś dotykasz tego przedmiotu, tyle myśli smutnych budzi się zawsze w mojej duszy, że chociaż pragnę tego, długo potem nie mogę się uspokoić... Niech zatem losem moim Opatrzność kieruje, ty zaś, jeźli dobrze życzysz sierocie, nie odtrącaj jej od siebie, nie wypędzaj jej ze swego domu, bądź dla niej przyjacielem jak dotąd i pozwól jej opiekować się nadal tym słodkim drobiazgiem, który ona kocha jak własne dzieci... Mnie się zdaje, że bez nich, bez was, świat byłby dla mnie pustką, że życie moje nie miałoby więcej celu, a duch oparcia. Henryku! nie wypędzaj mnie ze swego domu!

Z temi słowy zakryła sobie twarz dłońmi i rozpłakała się tak głośno a rzewnie, że dzieci przestraszone przyskoczyły do niej wołając:

— Ciociu! ciociu! nie płacz!

On sam ledwie się od łez wstrzymał. Nie mało siły potrzebował, by je połknąć, gdy mu się przemocą do oczu cisnęły. Bledszy był niż przedtem i zakłopotany. Pochylił się nad nią i szepnął:

— Nie płacz, ja cię o to proszę...

W tych kilku słowach, a właściwie w tonie, jakim je wymówił, musiało się wszystko mieścić, skoro głowę podniosła, łzy szybko otarła i dzieci do piersi swojej przycisnąwszy, słodko się do nich uśmiechnęła. Na niego jednak nie spojrzała.

Słońce właśnie zachodziło, gdy do domu wracali. Wyglądali jak zwykle. Ani smutni, ani zbyt weseli. Obok nich postępowała piastunka z Sabinką, przed nimi, biegła Jańcia ze Stasiem, wesoło szczebiocąc.

Niedaleko domu spotkali hrabinę i panią Eleonorę. Te dopiero teraz, gdy już słońce nie opalało, wybrały się na przechadzkę... Na widok Henryka i Antosi obok siebie idących, w oku hrabiny zamigotało coś takiego, coby można nazwać złośliwością i razem zawodoleniem — czoło zaś pięknej pani domu lekko się zasępiło.

XIV.

— Co? Co? To nie może być! — wołał pan Bielski nazajutrz rano, wpatrując się w arkusz zapisanego papieru, który w rękach trzymał. Papier ten miał wszelkie pozory urzędowego dokumentu. — Przeczytajmy raz jeszcze, bo kto wie, czy mi się w oczach nie mieni. Ale nie, przecie wczoraj nie mieliśmy postu... Czterdzieści talarów stoi jak byk! A jechał że cię sęk z takim pasztetem!

Po raz trzeci zaczął odczytywać i znowu znalazł to samo, co przedtem. Władza, do której to należało, wzywała urzędownie właściciela Trzcińca, by za ośm zajęcy, zastrzelonych na jego terytorjum przed otwarciem polowania, zapłacił 40 talarów. Równocześnie w piśmie znajdowała się groźba, że jeżeli drugi raz powtórzy się u niego podobny wypadek, raz na zawsze będzie mu odjęte prawo polowania.

Pan Miliński byłby chętnie karę za wujaszka zapłacił i pismo to zniszczył, gdyby nie okoliczność, że pan Bielski nie wiedząc, jakie następstwa pociąga za sobą w tych stronach przekroczenie ustaw łowieckich, mógł pierwszego lepszego dnia to samo uczynić. Pan Miliński tedy z obawy, by nie tracił prawa polowania na własnem terytorjum, wręczył mu fatalny dokument, mówiąc wesoło:

— Niech sobie wuj nic z tego nie robi, takie wypadki często się u nas zdarzają... Spodziewam się tylko, że wujaszek nie będzie nosił się z myślą wyzwania landrata na pojedynek, bo dopiero z tego gotowaby wyniknąć prawdziwa awantura.

Szlachcic czytał, głową kręcił i na wąs sobie motał.

— Czterdzieści talarów, za moich własnych ośm zajęcy, bom przecie ich nie ukradł, to coś niesłychanego. Jechał że ich sęk za takie zwyczaje! A jak to się oni prędko o tem dowiedzieli... Tfu! z takim krajem! Wolę już moją Galicję, bo tam przynajmniej szlachcic na kawałku swojej własnej ziemi, jest panem całą gębą. Źle, bardzo źle... Czterdzieści talarów szkoda, zwłaszcza teraz, gdy jeszcze nie wiem na pewne, czy św. Florjan dopisze, ale czy te pieniądze mogą równać się ze wstydem, jaki nam wyrządził? Jechał że cię za to sęk, ty psubracie!... Jakby mu się za to wywdzięczyć? Henryk boi się, bym go nie wyzwał, będę więc udawał, że przychylam się do jego zdania, a tymczasem trzeba pomyśleć, czy się co nie znajdzie. W najgorszym razie pod pierwszym lepszym pozorem pojadę do miasta, pójdę do landrata i powiem mu *verba veritatis.* Ciekawym co by mi taki drapichrust mógł zrobić. Wszak jestem obcym poddanym, a jakby tego było potrzeba, całą naszą delegację we Wiedniu potrafiłbym poruszyć, a ona udałaby

*

się zaraz do ministrów w mojej obronie. Tak, tak, trzeba grać komedję, żeby się Henryk niczego nie domyślił.

Tegoż dnia po południu, br. Maurycy Zarcnecke, przyjechał z żoną do Trzcińca, a niedługo po nich zjawił się także z pierwszą wizytą br. Fryderyk. Młodszy brat niezmiernie tem zdziwiony, dotąd bowiem Fryderyk nigdy mu nie wspominał, by się kiedykolwiek do Trzcińca wybierał, wypatrzył się na archeologa, jakby od niego oczekiwał wyjaśnień; wszelako ten nie musiał tego uważać za konieczne, skoro przez cały czas pobytu swego w Trzcińcu, do brata ani razu się nie zbliżył i ani słowa doń nie przemówił. Rozmawiał dosyć z gospodarzem, ale nierównie więcej z paniami, czem sobie tak ujął hrabinę, że ta po kilkakroć nazwała go nadzwyczaj miłym salonowcem.

Pan Miliński dobre miał przeczucie, gdy na ten dzień zapowiadał także przyjazd obydwu hrabiów. Rzeczywiście tak się stało. Jeszcze się baronowie na dobre nie rozgościli, a już na jeziorze dał się słyszeć sygnał, poczem do brzegu dobiła łódź sterowana przez Scholtza, a wioząca dwóch hrabiów Wągrowskich. Odtąd w salonie było gwarno Pani domu była obsypywana komplimentami, tak samo i jej matka, stary hrabia uniesiony zapałem skończonego światowca, po kilkakroć zwracał się i do baronowej z wyszukanemi grzecznościami, których ona w tej formie podanych. w życiu swojem pewnie jeszcze dotąd nigdy nie słyszała. Młody hrabia był także bardziej ożywiony, niż kiedykolwiek i pani Eleonory prawie na krok nie odstępował. Mąż nie zwracał na to uwagi i zdawał się być czemś innem zajęty. Jego w tej chwili nie tyle zajmowała zabawa i goście, o których sam nie wiedział, zkąd się u niego wzięli, ile opłakany stan zdrowia ks. Błażeja Proboszczowi było codzień gorzej, a lekarz, który go tego dnia oglądał, nie taił przed panem Milińskim, że ksiądz może łatwo dostać trawiącej gorączki i skończyć. Strata takiego sąsiada i przyjaciela, byłaby dla niego ciosem straszliwym.

Pan Bielski także nie był w dobrym humorze. Jego trapiły myśli z któremi się nosił, a z któremi bał się zdradzić. Zresztą co go mogli interesować ci ludzie, nie umiejący ani tak myśleć, ani tak czuć, jak on, ludzie różniący się od niego nawet wyglądaniem. On mógł bawić się, śmiać i żartować jedynie w swojem towarzystwie, hen na Podolu pod Zbarażem, gdzie mniej więcej każde serce biło jak jego i każda głowa tak samo jak jego myślała; tu zaś czuł się dobrze jedynie wtedy, gdy był z siostrzeńcem i proboszczem, ci bowiem, chociaż nie zupełnie, zawsze go jednak trocha rozumieli.

Baronowa, bojąc się, by kto z obecnych nie przypuścił, że nie zna się na zwyczajach wielkoświatowych, po upływie pierwszej pół godziny, dawała mężowi tajemne znaki, że czas do domu wracać. Hrabina szybko to spostrzegłszy, tak zaczęła tłumaczyć i prosić, że jeszcze została. Później, gdy zaczęto nakrywać do herbaty, nie sposób było odjeżdżać. Tak więc wszyscy zostali do późna, rozmawiali, grali, śmiali się i śpiewali.

Gdy hrabiowie stojąc na pokładzie swojej łodzi, przed samą północą do domu wracali, ojciec zapytał syna:

— I cóż, jak daleko zaszedłeś?

— Jestem tam właśnie, gdzie byłem z początku.

— Smutna historja, mój Leonardzie. W takim razie musisz coś stanowczego przedsięwsiąć.

— Myślę o tem.

— Myśl, myśl, bo inaczej przyjdzie kolej na mnie.

— Jeźli mi się nie uda, chętnie ci odstąpię.

— Dobrze, dobrze — szepnął i językiem mlasnął. — Dopiero wtedy zobaczysz, że będzie *Prachtvoll*!.. *Superbe*!..

Przez dwa dni następne pan Bielski, o tem, co go spotkało, ani pisnął. Odesłał tyko 40 talatów i strzelbę swoją kazał rozebrać, mówiąc, że jej w Trzcińcu więcej do ręki nie weźmie. Dopiero trzeciego dnia z rana, pokazał się siostrzeńcowi z zawiązaną twarzą, prosząc, by mu dał zaraz koni do miasta, gdyż potrzebuje poradzić się dentysty. Pan Miliński niczego nie podejrzywając, kazał zaraz zaprzęgać.

Ledwie szlachcic ujrzał się za bramą, zdjął chustkę z twarzy, uśmiechnął się i wąsa podkręcił. Jechał więc do landrata. Ale po co? Sam nie wiedział. Myślał wprawdzie przez trzy dni, wszelako dotąd nic nie wymyślił. Czuł tylko, że potrzebuje „wyjęzyczyć się do syta“ bo mu się zanadto żółci na wątrobie zebrało. Zresztą liczył także wiele na swój spryt wrodzony, który z dobroduszną lekkomyślnością stanowił główne tło jego charakteru. Skoro tyle już razy mu dopomógł, więc czemu nie miałby mu i dziś dopisać. Jechał tedy pełen fantazji, bo wiedział, że gdy przed landratem stanie, języka w gębie pewnie nie zapomni.

Pod samem miastem spotkał ekwipaż, w którym siedział br. Maurycy Zarnecke i drugi jakiś mężczyzna, dosyć jeszcze młody, acz w okularach, pucułowaty, czerwony. Baron pierwszy mu się ukłonił, on mu się odkłonił i tak się minęli. Gdy w mieście stanął przed biurem landrata, usłyszał, ku wielkiemu swojemu zmartwieniu, że landrat przed chwilą z baronem wyjechał i prawdopodobnie dopiero późnym wieczorem wróci. A to *pech!* pomyślał Galicjanin i rad nie rad kazał nawrócić. To niepowodzenie tak go zmartwiło, że zapomniał wstąpić do dentyssy i nie uprzedził stangreta by ten do domu wróciwszy nikomu nie mówił gdzie wstępowali.

Pan Miliński, który dopiero po odjeździe wujaszka zaczął coś podejrzewać, gdy ten wrócił, wprost go zagadnął, acz z uśmiechem i tonem żartobliwym, na czem skończyła się wizyta u landrata. Przychwycony tak znienacka, zaczął się wykręcać, jąkać, paplać, w końcu jednak do muru przyparty wszystko wyśpiewał. Wtedy siostrzeniec przedstawiwszy mu dokładnie, jakieby to za sobą mogło skutki pociągnąć, jeźliz naczelnikiem powiatu, jakąkolwiek miałby awanturę, zażądał od niego uroczystego przyrzeczenia, które słowem szlacheckiem miało być przypieczętowane, że o sprawie z zającami przestanie myśleć i z landratem nie będzie się starał nawet zobaczyć. Szlachcic kręcił się znowu jak mucha w ukropie, wszakże po niejakim czasie zrozumiawszy szczęśliwie, że krewkość mogła by go w rzeczy samej za daleko zaprowadzić, splunął kilka razy, zawołał: Jechał że cię sęk za to, że mnie tak molestujesz! i w końcu dał na to słowo, że choćby nawet spotkał gdzie landrata, nie wspominałby już przed nim ani jednem słowem o owych nieszczęsnych zającach, które go więcej krwi, niż pieniędzy kosztowały.

Landratowi także się upiekło, że tego dnia nie był w kancelarji. Chociaż wyszczególniał on się między swymi kolegami energją i gorliwością, mimo to nie we wszystkiem był do nich podobny. Inni landraci byli tylko urzędnikami, ten chciał być także dyplomatą. Tamci łamali, co im w drogę wchodziło, ten wolał zręcznie trudności omijać. Inni byli niezmiernie uradowani, ilekroć mogli u siebie uwięzić jakiego księdza za przekroczenie ustaw majowych; ten był dotąd prawdziwie szczęśliwy, gdyż w każdym raporcie do wyższej władzy mógł śmiało napisać, iż w jego powiecie panuje spokój wzorowy. Dopiero teraz miało być inaczej. Odpust w Romanowie, pobyt tamże misjonarza, którego żandarmi dotąd nie mogli schwytać i gorliwa agitacja ks. Błażeja Czyżyka, były czarnemi chmurami, które w chwili obecnej zaciemniały landratowi biurokratyczny widnokrąg. Jemu się dotąd zdawało, że rządząc zręcznie w swoim powiecie, wyróżni się korzystnie między innymi landratami, za to już wkrótce otrzyma wyższą posadę; tymczasem niespodziewanie zaszły okoliczności, które od razu mogły zburzyć piękne nadzieje.

Nasz landrat był jednak dyplomatą. Drugi na jego miejscu, byłby niezwłocznie chwycił się środków gwałtownych; przeciwnie on postanowił użyć polityki i w tym celu napisał do barona Maurycego, by jak najprędzej raczył do niego przyjechać.

Znali się oddawna, często u siebie bywali i jeden drugiego wysoko cenił za prawdziwie pruski patrjotyzm, którym w równej mierze były ich serca przejęte. Różnili się tylko w zapatrywaniu na środki, jakiemi powinno się dążyć do wielkości swojej ojczyzny. Landrat był oględny, giętki, dyplomatyczny; przeciwnie baron, jak najczęściej żołnierze, wierzył tylko w siłę i budujące się na niej środki gwałtowne. Bardzo się tedy zdziwił, gdy przyjechawszy do landrata, usłyszał od niego, iż tenże chce pojechać incognito do proboszcza trzcinieckiego, by z nim się rozmówić i na niego wpłynąć, iżby zaniechał agitacji, która prędzej lub później zwali na niego całe brzemię nieszczęścia. Baron chciał z początku odwieźć przyjaciela od tego zamiaru, upewniając go, że spokojna perswazja nigdy nie trafia do przekonania Polaków, których on z tej strony już dobrze poznał; wszakże gdy landrat trwał przy swojem, postanowił zawieźć go sam do ks. Czyżyka i nawet przyrzekł mu pomagać przy nawracaniu tego człowieka.

Tak więc wyjechali razem z miasta, na objad wstąpili do Komarowa, a po południu ruszyli prosto do Trzcińca.

XV.

Ks. Błażej siedział przy oknie w dużym fotelu, po bokach poduszkami otulony, gdy przed ganek zajechał powóz barona Maurycego, z którego wysiadł on i landrat. Proboszcz ściągnął brwi, jakby myślał, co by ta wizyta mogła znaczyć. Br. Maurycy dotąd u niego nie był, a o landracie nawet nie słyszał by prócz Komarowa, gdziekolwiek więcej bywał. Po cóż więc tu przyjechali, czego chcą od niego? W każdym razie przeczucie mu powiedziało, że ich przyjazd nie zapowiada nic miłego. Chociaż bardzo był osłabiony, powstał i krokiem wolnym, na lasce się wspierając, ku drzwiom postąpił.

Pierwszy wszedł landrat, baron drugi. Przywitawszy się zimno z gospodarzem, zajęli zaraz wskazane sobie przez niego miejsca, ksiądz zaś wrócił do swego fotelu.

— Jak widzę ksiądz proboszcz trocha cierpiący — landrat pierwszy przemówił.

— Nie bardzo... trocha mnie kaszel męczy — głucho odpowiedział.

Po kilku jeszcze ogólnikach, landrat do rzeczy przystąpiwszy, zaczął mówić słodko, delikatnie a oględnie, w jakiej właściwie sprawie tu przyjechał. Baron słuchał i tylko tam, gdzie landrat do niego się zwracał, jakby spodziewając się potwierdzenia słów swoich, tenże mówił krótko, a dobitnie:

— *Ja, ja, ist schon recht!* Tak, tak, racja.

Proboszcz mając w mówiącego wzrok wlepiony, okazywał więcej zdziwienia, niż ciekawości, najmniej zaś przestrachu. Wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie tego, co słyszał. Landrat nie gniewał się, nie złorzeczył, nie groził; on jedynie prosił, by ksiądz porzucił agitację karygodną i od wszystkiego ręce umył, co gdy nastąpi, może nawet kiedyś nagrody się spodziewać. Dopiero ostatnia ta uwaga dotknęła kapłana boleśnie.

— Pan landrat raczy jasno sformułować swoje żądania, bym przynajmniej wiedział, za co mam się nagrody spodziewać.

Mimo że tak w twarzy księdza, jak w tonie jego głosu, przebijało się szyderstwo, landrat odrzekł spokojnie:

— Ja żądam tylko tego, do czego każdy wierny poddany Jego Cesarskiej Mości jest obowiązany, mianowicie poszanowania istniejących ustaw.

— A jeżelj te ustawy zostały nam narzucone wbrew życzeniom i potrzebom katolickiej ludności, więc cóż mam wtedy czynić, skoro jestem nietylko poddanym pruskim, lecz także katolikiem?

— Zawsze należy spełniać swój obowiązek! — wmięszał się baron.

— A jeżeli z tym obowiązkiem kłóci się moje sumienie? — ksiądz zapytał.

— Gdzie sumienie się buntuje, tam wkracza prawo, które jest nieubłagane!

— Niech więc wkroczy, jam gotów!

Baron brwi zmarszczył i znów chciał coś powiedzieć, wszelako landrat za rękaw go pociągnął i sam tak przemówił:

— Rozumiem ja bardzo dobrze położenie księdza proboszcza, jako członka hierarchji rzymskiego kościoła. Co wam papież przez swoich delegatów, o których wiemy, że się tu teraz uwijają, czynić nakazuje, to panowie musicie robić. U nas jest to zatem rzeczą posłuszeństwa, niczem więcej. Wielka atoli zachodzi różnica między prostem spełnianiem rozkazów, a gorliwą agitacją w duchu rządowi nieprzyjaznym. Żeś ksiądz proboszcz misjonarza w Romanowie zainstalował, o czem zaraz nazajutrz mi doniesiono, to było może jego obowiązkiem, za to dalsze postępowanie jest czysto agitacyjnem. Czemu ksiądz, mimo zdrowia wątłego, codzień prawie do Romanowa jeździsz i raz w tej, drugi raz w owej formie ciągle wykraczasz przeciw ustawom majowym? Czemu uczysz włościan, jak mają misjonarza ukrywać? Czemu tak namiętnie agitujesz między swymi parafianami, że ci Niemców uważają teraz za najcięższych swoich wrogów? Czemu pisujesz do dzienników i w nich czernisz władzę? Czemu nareszcie co tydzień zbierasz u siebie małe dzieci i w młode ich umysły wpajasz ku nam nienawiść? To wszystko księże proboszczu, wykracza po za granice obowiązku i jak powiedziałem, jest prostą agitacją.

Proboszcz oskarżenia słuchając, ciągle się uśmiechał, gdy landrat skończył, temi słowy odpowiedział:

— W kilku minutach tyle tu zarzutów usłyszałem, że zaiste dziwię się, czemu dotąd nie kazaliście mnie panowie kołem połamać. Topór dla takiego zbrodniarza za mało, on powinien więc zginąć jak ojcobójca... W rzeczy samej widzę, żem ciężko zawinił i dla tego muszę być potępiony.

— Na poprawę jest zawsze czas — landrat zauważył udając, że nie poznał się na ironji proboszcza.

— Czy na poprawę, czy na odstępstwo? — ksiądz szybko zapytał, w gościa swego wyrazisty wzrok wlepiając.— Proszę mi to powiedzieć otwarcie, abym nareszcie wiedział czego się mam trzymać.

— Ludzie honorowi, a takiemi ponoś jesteśmy, nie zwykli namawiać do rzeczy niehonorowych! — baron żywo zaprotestował.

— Prócz wiary i Boga, wszystko zresztą panie baronie jest względne na świecie, bo zależy od sposobu zapatrywania się na to lub na owo. Co panowie uważacie za rzecz obowiązkową i honorową, to może ja poczytuję za odstępstwo, a nawet za zdradę. Dla tego zdaje mi się, że porozumienie między nami nigdy nie nastąpi.

— A nie mówiłem! — zawołał baron porywczo, z miejsca się zrywając. — Oni wszyscy jednakowi!

— Powoli kochany baronie, powoli — landrat zaczął znowu głosem słodziutkim. — Jak widzę ksiądz nie zdaje sobie jasno sprawy ze swego położenia, skoro na moje przyjacielskie uwagi tak szorstko odpowiada. A czy pomyślałeś księże proboszczu o następstwach? Wiesz przecie, co się dzieje w innych powiatach naszej rejencji, ja tylko jeden, nie chcąc burzy wywoływać, mityguję i dla tego przyjechałem aż tu z rószczką oliwną. Lecz jeźli ksiądz nie ustąpisz, to jest nie przestaniesz działać w duchu nam nieprzyjaznym, wtedy sprawa oprze się o sądy... A na czem się skończy?

— Na więzieniu! — ksiądz spokojnie dokończył.

— I potrzebaż tego, zwłaszcza księdzu, który jesteś chory?

— Pierwsi chrześcijanie marli w katakombach, a mimo to z ich grobów wytrysnął zdrój, który Romę zalał.

— Czyżby nam ksiądz groził? — baron gromko zapytał.

— Mnie grozić nie wolno, przyszłość w ręku Boga, nie w moim!

Wszyscy umilkli i jeden drugiemu w oczy nie patrzył. Przykre to milczenie dosyć długo trwało, dopóki go landrat pierwszy nie przerwał, mówiąc:

— O ile mnie się zdaje, księże proboszczu, do oporu, którego dowody codzień teraz zbieramy, nie nakłania was tyle sumienie katolickie, dla którego wszelka władza, jako od Boga pochodząca, jest święta, ile wasz szowinizm narodowy. Pomięszawszy rzeczy świeckie z religijnemi, stajecie się szermierzami ułudy, która nigdy się nie urzeczywistni i tem najwięcej sobie szkodzicie. Przeciwnie. gdyby wam szło tylko o kościół, porozumienie z wami byłoby stokroć łatwiejsze, bo i rząd poczyniłby wam prędzej ustępstwa. Czy mam rację, księże proboszczu?

— Zupełną. A teraz ja pana landrata zapytam, cobyś pan też o takim księdzu powiedział, który myśląc o kościele, zapominałby równocześnie o swoim narodzie? Bóg nigdzie nie powiada, żeśmy od miłości, jaką z nas każdy ma otaczać jego niewidzialną istotę, powinni oddzielać tę miłość, której ojczyzna od nas się domaga. A skoro sam Bóg tego nie żąda, to czyż wolno żądać ludziom? Tak jest panowie! — mówił ksiądz bardziej się zapalając — my idziemy zgodnie z narodem i to stanowi dziś naszą siłę niespożytą! My z nim, a on z nami! Jego język broni to naszej religji i nasza religja broni jego języka. Gdyby duchowieństwo było tak dawniej postępowało, nie bylibyście nas wyparli z nad Odry, Elby i Bałtyku! Niestety, przed wiekami wewnętrzne siły naszego narodu były rozbite, między poszczególnemi stanami brak było łączności, a że wyście mieli więcej rozumu i mienia, więc też wdarliście się aż do tych zakątków, do których nie mieliście nigdy prawa. Dziś waszemu pochodowi przeciwstawiamy zwarty i jednolity łańcuch, którego nawet działami Krupa nie rozbijecie.

— Zobaczymy! — baron gniewnie krzyknął. — Jeszcze kilka dobrych rozporządzeń, a zginiecie z powierzchni ziemi.

— Zobaczymy! — ksiądz spokojnie za swoim gościem powtórzył. — Jeźli wy panowie jeszcze nie wiecie, to ja wam powiem, iż mimo największych wysiłków całej waszej potęgi, tak duchowej, jak fizycznej, tak moralnej, jak materjalnej, a skierowywanej od stu lat ku temu, by nas zniszczyć i zdmuchnąć, my dziś jesteśmy silniejsi niż kiedykolwiek. Przedewszystkiem mamy lud, na którego dawniej nie mogliśmy liczyć, a chociaż szlachta traci ziemię, nie jest

to objaw aż tak straszny, iżbyśmy z tego powodu mieli wątpić o przyszłości. Czechja nie miała szlachty, wasza rasa wszędzie tak samo zaborcza i bezwzględna jak u nas. całą ją zalała, mimo to Czechja jest dziś narodem tak silnym, jakim dotąd może nigdy nie była. Serbia straciła także szlachtę, ale ponieważ miała lud więc żyje! Dla tego i my, panowie, jesteśmy spokojni a że do podniesienia sił naszych przyczyniliście się najwięcej wy sami, przeto pozwolicie. że w imieniu wszystkich moich rodaków, złożę wam tu najserdeczniejszą podziękę.

— On z nas drwi! — baron zawołał.

Landrat spoglądał na gospodarza, jakby go nie rozumiał.

— Nigdy z nikogo nie drwię, a już najmniej z moich gości — kapłan odparł spokojnie. — Że panom dziękuję, to rzecz słuszna i nie tak znów trudna do zrozumienia. Panowie jesteście Prusakami z urodzenia i przekonania, a któż, jeźli nie oni, zaprowadzając ustawy majowe, wzmocnił nasze siły? Dzięki im, duchowieństwo stanęło po stronie narodu, patrjotyzm oparł się o religję. Takiej potęgi nikt nie zmoże i dla tego z głębokiego przekonania, zato wam dziękuję.

— Siła ta jednak tylko tak długo nią będzie — landrat się wmięszał — dopóki na czele tutejszego duchowieństwa nie staną inni ludzie. Gdy rząd o takich się postara, którzy księżom nie pozwolą mięszać się do spraw krajowych, wtedy zobaczycie panowie co nastąpi.

Proboszcz słysząc tę uwagę, czoło zasępił. Prędko jednak znowu je rozjaśnił i odpowiedział.

— Tego się nie lękam, panie landracie, bo chociaż wszystko jest możliwe, chociaż na czele naszego kościoła nie zawsze stali żarliwi obrońcy spraw narodowych i chociaż jest rzeczą prawdopodobną, że rząd mający władzę w ręku, postara się dla nas o takiego kierownika, który nam każe zapomnieć o wszystkiem co świeckie, mimo to ja się bynajmniej tem nie trwożę, bo wiem, że rzekę łatwo można w takie łożysko wprowadzić, które jej sama natura wskazała, lecz nie sposób jej wstecz nawrócić! Duchowieństwo z narodem, to łożysko naturalne, boć obie te siły z jednego pnia wyrastają; przedtem sztucznie rozdzielane, mogły żyć obok siebie nie wspierając się wzajemnie, ale odkąd strumień popłynął już tą drogą, która mu sama Opatrzność wskazała, od tego czasu niech się nikt nie kusi biegu jego tamować, bo go fala porwie i zaleje. Być może, że i między nami znaleźliby się na tyle słabi, że czyniąc zadość wskazówkom z góry otrzymanym, cofnęliby się od współudziału w życiu narodowem, lecz wierzcie mi panowie toby były smutne wyjątki! Większość duchowieństwa wytrwałaby pod teraźniejszym sztandarem.

— A do tej większości ksiądz proboszcz także należysz! — baron drwiąco przerwał.

Ks. Błażej podniósł się zwolna i stanął na lasce się wspierając,

— Nim księdzem zostałem, byłem wpierw synem tej ziemi! — uroczyście przemówił. — Pokochałem ją miłością pierwszą, tak samo jak moją rodzinę, która mi była krwią najbliższa.., Później gdym dorósł i został mężczyzną, pokochałem jeszcze inną, ziemską istotę, którą miałem żoną nazwać... Umarła w kwiecie wieku, w dzień ślubu.. Nie długo po niej, rodzina moja przeniosła się także w lepsze światy... Odtąd zostałem sam, z moim narodem i Bogiem! Miałem już lat trzydzieści, pierwsze siwe włosy na głowie i zarody śmiertelnej choroby w tych piersiach, gdym postanowił poświęcić się kościołowi, aby w sukni kapłana tem skuteczniej pracować dla dobra ojczyzny! Takie jest moje życie panowie, taka moja miłość... I czy sądzicie, że ksiądz, który nigdy nie zapomina, że jest także człowiekiem — że człowiek, który wie, że jest tak dobrze szermierzem kościoła jak obrońca swego narodu — iż syn tej ziemi, który ją jak matkę ukochał i głośno sam wyznaje, że bez miłości nie ma zbawienia, czy sądzicie, że taki zaprze się swojej pszeszłości i zostanie odstępcą i zdrajcą?! O! panowie! nie w Trzcińcu było szukać takiego człowieka.

Skończył, i wysilony upadł na fotel. W tej chwili porwał go kaszel gwałtowny i na ustach krew mu się pokazała.

— Niepoprawny! — mruknął baron.

— Chciałem go ratować... Niestety nie rozumie swego interesu... teraz sąd będzie działał — rzekł cicho landrat.

Za chwilę obadwa goście odjeżdżali, w pokoju zaś kościelny przenosił jegomości na łóżko, bo mu się bardzo pogorszyło.

XVI.

Co się z Jaśkiem stało? Był jeszcze w Berlinie, kilka tygodni pisał do matki po pieniądze, po które ona wśród płaczu, narzekań i przekleństw, szła do Silbera, by mu je odesłać najbliższym pociągiem, w każdym liście ją upewniał że już lada dzień zrobi wielkie szczęście, ale co tam właściwie robił, o tem nikt nie wiedział. Maryna kochając go miłością ślepą ufała mu i wierzyła w jego gwiazdę, bo sko ro Bóg był na niebie, więc musiał też pamiętać o jej najdroższym, ale mimo to nieraz, gdy sama była w izbie, zbierał ją lęk straszliwy, jakby ziemia pod jej nogami miała się roztąpić. Wszak brała ciągle pieniądze od Silbera i podpisywała męża na wekslach. Lecz co będzie gdy Wojciech o tem się dowie? Wprawdzie rzecz cała mogłaby się ukryć, gdyby Jasiek żyda przedtem zaspokoił, ale czy to nastąpi? Jeden termin już minął, Maryna ledwie Silbera wtedy uspokoiła, że przystał na krótką prolongatę, chociaż to uczynić niegdyś dobrowolnie przyrzekał, teraz nadchodził drugi termin, i on już jej zapowiedział, że jeżeli długu nie uiści, pójdzie do Wojciecha. Gdy o tem myślała, strach ją ogarniał, ale w takich razach nigdy się nie zdarzyło, żeby płakała, lub modliła się do Boga o pomoc. Wtedy ze strachem łączył się po niej zawsze gniew srogi, biła dzieci za co bądź, często za nic; niepomna przysięgi złożonej niegdyś na brzegu jeziora, tak męża przeklinała, że aż przechodniom, gdy to słyszeli, ze zgrozy włosy na głowie stawały; nakoniec złorzeczyła wszystkim i wszystkiemu, sobie, ziemi i niebu Mąż wytrzeszczał na nią oczy, żegnał się, jak na widok istoty przez czarta opętanej, spluwał i na jezioro uciekał. Dopiero gdy po każdej takiej wojnie, gdzieś w kącie, by jej nie widział, dobrze się napłakała, była potem czas jakiś cicha, zgodna, dobra, że ją tylko do rany przyłożyć.

Raz, gdy największy gniew nią miotał, wpadł do. izby Michałek z głośnym krzykiem, za twarz się trzymając.

— A tobie co? — zawołała.

— Ta profesor dali mi w pysk, matulo!

— Profesor? A za co ciebie ten pies uderzył?!

— Ta chciał cobym katechizmu uczył się po niemiecku, a ja mu powiedział, co nie będę, bo ja Polak i katolik.

— *O! Herr Gott*! — krzyknęła — dam ja tobie, ty przeklęty luterjanie!

I jak stała, z domu wybiegła.

Jeźli kiedy, to właśnie teraz przyszło jej to w porę. Miała kogoś więcej niż swoją rodzinę, na kim mogła gniew wywrzeć! Prócz tego na nauczyciela, z dawien dawna miała wielki apetyt. Sama usiłowała niegdyś przerobić męża na Niemca; synów swoich pragnęła widzieć na równi z tymi, którzy od chłopów polskich różnili się swojem, mową i obyczajem; jak wiemy, z przyjemnością także po niemiecku rozmawiała, ale to wszystko wolno było czynić tylko jej, Marynie Żołędziakowej, żonie Wojciecha, a matce Jaśka, Jędrusia i Michałka. Zmieniła się jednak postać rzeczy, odkąd nauczyciel, zaczął w jej chłopców w szkole wmawiać, że powinni uważać się za Niemców i przezwać się po niemiecku, ponieważ ich rodzona matka, poczytuje się także za niemkę. Gdy to usłyszała, taki gniew ją porwał, że jej twarz odrazu zrobiła się całkiem siną. Jak śmiał ten człowiek wdzierać się w jej zakres działania, skoro go o to nie prosiła! Co jej było wolno, od tego innym wara! Jej gniew przybrał jeszcze większe rozmiary, gdy chłopcy raz i drugi ze szkoły przyszedłszy, zaczęli się przed nią skarżyć, że nauczyciel chce na nich koniecznie wymódz, by katechizmu po niemiecku się uczyli. Z obrażoną miłością własną połączyła się teraz zgroza, jaką w duszy prawowiernej katoliczki, a taką Maryną zawsze była, obudziło samo przypuszczenie, iż profesor mógłby jej dzieci uczyć po niemiecku herezyj luterjańskich. Wszak jegomość nie raz już we wsi przestrzegali przed tym człowiekiem, bo skoro arcybiskup nie dał mu misji kanonicznej do nauczania religji, więc kto wie, czego on właściwie uczył! Jak tylko dzieci jej to powiedziały, chciała natychmiast pójść do profesora i rozmówić się z nim po swojemu; wszelako Wojciech, który na szczęście był w domu, przemocą w izbie ją zatrzymał i tym sposobem przeszkodził wielkiej awanturze.

Dziś miało być inaczej. Wojciech poszedł po coś do dworu, bo dziedzic jeszcze rano po niego przysyłał, a prócz tego zniewaga stokroć była większa niż dawniej, gdyż nauczyciel odważył się uderzyć jej chłopca, do czego tylko ona jedna miała prawo. Chwalić, pieścić i kochać jej dzieci, mógł każdy na świecie, ale bić, nie pozwalała nikomu, na-

wet ojcu. Ona była najsprawiedliwszą osobą na ziemi, więc bez przyczyny nigdy nie biła; prócz tego miała rękę lekką, po której ślady nie zostawały. Przeciwnie ojciec, zdaniem jej, w pasji nie miał pohamowania, i rękę miał tak ciężką, że mógł dziecku co złego zrobić.

Nauczyciel stojąc we furcie przed szkołą, oparty o słup murowany, ćmił fajeczkę i patrzył w ulicę, po której tylko psy się snuły. Gdy spostrzegł Marynę szybko ku niemu zdążającą, zmarszczył czoło, bo sobie przypomniał, jak się dziś z jej synem obszedł, chciał nawet cofnąć się i wejść do domu, lecz gdy pomyślał, jakby to było nieładnie, jeżeliby on, mężczyzna, przy tem profesor, umykał przed kobietą, i do tego prostą chłopką, został na dawnem miejscu.

— Jak ty śmiesz psie niemiecki znęcać się nad polskiemi dziećmi?! — krzyknęła głosem ochrypłym, ledwie o krok przed nim się zatrzymując.

Mówiła czysto po polsku i ani pół słowa niemieckiego nie użyła.

— Co? Polskie dzieci? — odparł po niemiecku z udanym spokojem. — A czyż to ty babo sama wciąż nie powtarzasz, żeś Niemka!

— Łżesz! Łżesz! Ja Polka sprawiedliwa!

— A od kiedy, od wczora? Zresztą jeżli chcesz koniecznie być polską świnią, to bądź! Mnie to nie szkodzi.

— Łotrze! Psie! Luterjanie!—krzyknęła głosem charczącym i nim nauczyciel miał czas cofnąć się, już w powietrzu rozległ się łoskot dwóch policzków.

Skoczyć za furtę, zatrzasnąć ją za sobą i zamknąć było u niego dziełem jednej chwili. Furta była wysoka, z grubych tarcic sporządzona, a stała między dwoma słupami z cegły czerwonej, za któremi po obu bokach ciągnął się mur, otaczający całe domostwo. Maryna uderzyła oburącz w furtę, myśląc, że ją wysadzi. Za słabe jednak były jej siły; furta nawet nie zatrzeszczała. W głębi nie było też słychać żadnego głosu; snać pan profesor salwował się nie tylko zamkiem, lecz i ucieczką. Wtedy ona klnąc, o mur się oparła, by się wysapać i z gniewu ochłonąć. Stała tak kilka mimut. Nareszcie spojrzała na ziemię. U jej nóg leżała fajka, dalej czapka. Schyliła się szybko i podjąwszy zdobyte trafea, rzuciła je na drogę mówiąc:

— Niech się psy nacieszą!

Odetchnęła raz jeszcze i ułożywszy ręce pod fartuch z miną dobrą, nawet uśmiechniętą, wracała do domu. Wieś tak była o tej godzinie wyludniona, że sceny, jaką nauczycielowi wyprawiła, nikt nie wiedział. To jedno ją bolało. Ilekroć na kim gniew swój wywierała, pragnęła mieć jak najwięcej świadków, by wszyscy wiedzieli jak jest sprawiedliwą i jak odważnie broni swego honoru. O tem, co ją za to spotkać mogło, ani myślała teraz.

Na progu swego domu ujrzała Wojciecha. Chmurny był i jakiś papier w ręku trzymał. W pierwszej chwili strach ją zdjął niezmierny, bo w jej myśli Silber stanął. Zatrzymała się tedy, by się do obrony przygotować.

— Chodź kobieto, chodź! — przemówił łagodnie.

Odetchnęła. Nie był zły, tylko smutny, bo żałość miał w głosie.

— Co się stało? — zawołała.

— Czytaj!

To powiedziawszy, podał jej list drobnym charakterem zapisany. Podniosła go do oczu, ale nie mogąc nic odczytać, zwróciła mu list niecierpliwie.

— Wiesz przecie stary, że bez okularów, nie mogę takich pcheł czytać.

— Jasiek chory.

— Chory?! O! Jezu! Rety! — zawołała bledniejąc.

— Młody Żarnowski z Komarowa, ten sam, co to łońskiego roku stawiał u jegomości piece na probostwie, jest teraz z murarzami w Berlinie i ten mi pisze, że Jasiek ciężko chory w szpitalu leży.

Maryna rozpaczliwie ręce załamała.

— O! Jezu! Jezu! — jęknęła. — To z nim musi być bardzo źle, kiedy już jest w szpitalu. O! Panno Najświętsza, zlituj się też nad nim i nad nami! A co ty myślisz stary robić, co? Gadaj że prędzej, kiedy czekam!

— Trzeba matko, żebyś pojechała.

— Ja? Czemu nie ty? A może ty nie ociec, co? Ej, dużoś już złego narobił stary, popraw że mi się choć teraz, bo cię Pan Bóg za moją krzywdę ciężko pokarze! Pojedziesz, czy nie?!

— Nie pojadę — odrzekł, chmurno przed siebie patrząc.

— Nie? To taki z ciebie katolik? — zawołała. Już chciała mu powiedzieć, że skoro własnemu dziecku i do tego pierworodnemu, nie chce winy przebaczyć, więc jest najniegodziwszym człowiekiem pod słońcem, gdy w tem przyszedł jej na myśl Silber. A co by się stało, gdyby tak Jasiek w gorączce z wszystkiego przed ojcem się wygadał? Stokroć zatem będzie lepiej jeżeli ona pojedzie.— Kiedy nie chcesz, to śmierdź w domu, ja sama pojadę! — mówiła znacznie już łagodniej. — Ja nie zapomnę, żem go na świat wydała! Oj Jaśku, Jaśku, po co ty tam pojechał poganinie!

I łzy jak groch duże, a obfite, zaczęły toczyć się po policzkach, ulgę jej niosąc.

— Nie becz babo, nie becz — mąż jej perswadował.— Jemu to nie pomoże, a nuż tobie zaszkodzi... Może Bóg miłosierny da, że mu nic nie będzie... Niechby jeno przyjechał, ukorzył się i chciał pracować, to choć okrutnie serce mnie boli, jeszczebym mu przebaczył. Jutro do dnia pojedziesz Maryno, w skrzyni jest trocha bitych, weźmiesz z sobą, bo może tam za niego będziesz musiała co zapłacić, ja pojadę do Romanowa i księdzu misjonarzowi dam na wotywę, bo nasz jegomość coś bardzo chory i Bóg wie kiedy do kościoła pójdą. Może za wstawieniem się Najświętszej Panny złe przeminie. No, no, babo, nie becz, bo będę zły!...

XVII.

Dopiero szarzeć zaczynało, gdy Maryna z czerwonymi od płaczu oczami, na wóz wsiadała, by na kolej pojechać. Nie bała się ona drogi dalekiej, bo choć w Berlinie dotąd nie była, wiedziała, że to przecie nie na końcu świata, zresztą za lat młodszych, jeździła z mężem dwa razy do Poznania, raz do Wrocławia, prócz tego była rezolutna i z każdym umiała się rozmówić. Pieniędzy także jej nie brakowało; Wojciech dał jej sto bitych. Gdy skrzynię otwierał, biedne kobiecisko aż się odwróciło, tak ją coś za serce ścisnęło. Wszak ta skrzynia była powodem wszystkich jej zgryzot! Nie podróż zatem przez noc całą łzy jej wyciskała, ale obawa, że może Jaśka bez nadziei zastanie...

Mąż miał ją odprowadzić do kościoła. Dalej nie mógł, bo chciał jeszcze rano skoczyć do Romanowa, by dać na wotywę; potem trzeba było prędko do domu wracać, gdzie wszystko zostawił na opatrzności boskiej. Przed kościołem wóz stanął. Wojciech płacząc nie mniej od żony, uściskał ją raz drugi, dał ostatnie rady i z wozu zeskoczył. Ona łkając pojechała dalej szosą, on zaś łzy otarłszy poszedł drogą wązką, która do Romanowa prowadziła.

Za wsią, mimo pory tak wczesnej, zobaczył dużo ludzi razem stojących, którzy przypatrywali się jakiejś tablicy w tem miejscu do słupa przybitej. Do jego uszu doleciał od nich gwar niewyraźny, jakby w ulu pszczół brzęczenie. Wojciecha bardzo to zdziwiło. Wszak w tem miejscu nie było nigdy ani słupa, ani tablicy.

— Wojciech! Żołędziak! A chodźcie tu! — zaczęli wołać z daleka go poznawszy.

— Pochwalony Jezus Chrystus. A co tu nowego?

— Na wieki wieków, amen! Czytajcie Wojciechu.

Czytał i własnym oczom nie wierzył. Na białej tablicy, opatrzonej u góry wązkim daszkiem, który miał od deszczu chronić, było wypisane czarnemi litetami, w języku niemieckim, że wieś ta nazywa się Schilfdorf, że należy do okręgu rejencyjnego, X. do powiatu Y. i tak dalej.

Rybak przeżegnał się i splunął.

— Kto to postawił? — zapytał.

— Niemczyska widać w nocy przywieźli i postawili — odpowiedziały liczne głosy.

— Bodajże ich za to cholera wytłukła!

— Daj Boże! Daj Boże!

Tłum zaczął się gniewać, odgrażać, burzyć. Jedni chcieli zerwać tablicę, razem ze słupem, żeby ją pogruchotać, w którym to zamiarze kilku młodszych skoczyło zaraz po siekiery; drudzy utrzymywali, że lepiej będzie, jeżeli słup słomą obwiążą i podpalą, bo wtedy wymysł luterjański otrzyma taką karę, na jaką zasłużył, inni nareszcie byli zdania, że wszyscy powinni natychmiast pójść do landrata i poskarżyć się przed nim na swawolę trzech niemieckich mieszkańców Trzcińca, którzy całej osadzie taką krzywdę wyrządzili. Rybak uwagę tych wysłuchawszy, zaklął ich na wszystko, by środków gwałtownych unikali, to bowiem mogłoby tylko zaszkodzić, i powtórzywszy im słowa proboszcza o tej sprawie, które w pamięci dobrze zachował, prosił ich w końcu, żeby tak długo na własną rękę nic nie przedsiębrali, dopókiby nie poradzili się wpierw jegomości i dziedzica. Chociaż nie każdemu pokojowe te słowa do

gustu przypadły, większość jednakowoż postanowiła usłuchać Żołędziaka. Starsi zaczęli się tedy rozchodzić, ku wielkiemu zmartwieniu wyrostków, którzy napróżno przynieśli siekiery.

Rybak pospieszył do Romanowa.

Maryna cały dzień jechała. Dopiero wieczorem stanęła w Berlinie. Ponieważ dla późnej godziny nie mogła pójść odszukać Żarnowskiego, musiała więc zajechać do małej gospody w pobliżu kolei, gdzie przenocowała. Dnia następnego widziała się z Żarnowskim, i ten jej powiedział, w którym szpitalu Jasiek leży.

— A co mu jest? Co mu jest ?! — zawołała.

— Pobili go niemcy w piwniarni.

— O! Jezu! Jezu!

Tak jeszcze odeszła w głąb miasta. W szpitalu o swego syna nie mogła się dopytać. Nikt nie znał Jaśka Żołędziaka, takiego nazwiska nawet tu nie słyszano. Biednej kobiecie już na płacz się zbierało, gdy jakiś posługacz ją zapytał:

— A może wy szukacie Johanna Eicherta?

Dopiero teraz sobie przypomniała, że od dłuższego już czasu, jej syn, kazał do siebie list w ten sposób adresować. Wtedy sądziła, że Jasiek chce odbierać listy pod nazwiskiem jakiego przyjaciela, z którym może mieszka, wszelako gdy teraz usłyszała, że ów Johann Eichert leży w szpitalu, nie mogła nie domyśleć się, że ów niemiec nieznany a jej syn, to niestety jedna i ta sama osoba.

— Johann Eichert? — powtórzyła. — A jak on wygląda, jak?

Posługacz opisał wiernie Jaśka.

— Ta to on, on! — krzyknęła. — Prowadźcie mnie, do niego dobrzy ludzie, prowadźcie!

Posługacz ruszył pierwszy, Maryna za nim.

Ten, do którego biedna kobieta szła z sercem bijącem, już od dwóch tygodni leżał w szpitalu. Z innemi wyjeżdżał on niegdyś nadziejami do Berlina. Spodziewał się zrobić majątek, zostać panem; tymczasem omało na tamten świat się nie dostał.

Ten, który go tu sprowadził, robił mu piękne nadzieje obiecywał protekcję i dobrą posadę. Jasiek ufał, bo czyż mógłby on podejrzywać o nieuczciwość samego pana wachmistrza; jednę połowę pieniędzy, które z sobą przywiózł, oddał mu zaraz po swoim przyjeździe, drugą przehulał z nim i z jego przyjaciółmi. Gdy talarów brakło, pan wachmistrz szepnął mu na ucho, żeby napisał do domu po nowy zapas gotówki, ponieważ na posadę, którą ma dla niego przyrzeczoną, będzie musiał czas jakiś poczekać. Jasiek napisał po pieniądze raz i drugi, matka przysłała, talary potoczyły się dawną drogą, a posady jak nie było, tak nie było...

Mimo całej lekkomyślności Jasiek zaczął się niepokoić. Na czem to się skończy? nie raz myślał. Prócz tego matka w listach swoich, tak często mu powtarzała, żeby jak najprędzej starał się Silberowi pieniądze zwrócić, bo inaczej żyd wszystko ojcu powie, że choćby nie chciał, musiał i o tem myśleć. Jako człowiek lubiący żyć dobrze i bez trudu, a przytem dość sprytny, nie chciał wszystkich mostów zrywać za sobą, bo nużby kiedyś potrzebował wrócić do domu rodzicielskiego.

Niepokój jego wzrastał w miarę, jak pan wachmistrz zaczął się od niego usuwać. Nastąpiło to zaś wtedy, gdy spostrzegł, że Jasiek co raz mniej pieniędzy otrzymuje. Do niepokoju przyłączyło się jeszcze rozdrażnienie. Chociaż, odkąd do Berlina przyjechał, nawet z Polakami, których tu spotykał, nie mówił nigdy inaczej, tylko po niemiecku; chociaż ubierał się i golił wąsy jak Niemcy i chociaż zaparł się rodzinnego nazwiska, gdyż z niemiecka przezwał się Johann Eichert, mimo to ci, wśród których teraz żył, dotąd nie uważali go za równego sobie i często gęsto dawali mu do zrozumienia, że w ich oczach jest on ciągle polskim chłopem. Z wszystkiego to może najbardziej go bolało. To też nie raz skarżył się sam przed sobą na tych „Niemców niepoczciwych, którzy mu żyć nie dają“

Pewnej niedzieli zaszedł z panem wachmistrzem na piwo, do jednej z mniejszych piwiarni w pobliżu ludowego ogrodu. W izbie, w której usiedli, tłok był wielki. Znajomych było kilkunastu. Jasiek był tego dnia w gorszym humorze niż zwyczajnie, ponieważ posady dotąd nie miał, a z kieszeni ostatnie talary ubywały. Siadł chmurny za stołem i rzadko kiedy przemówił jakie słowo.

Właśnie, gdy czwarty z rzędu kufel do ust przykładał, jeden ze znajomych, ni ztąd ni zowąd zaczął mówić o religji katolickiej i wyszydzać jej obrzędy. Jasiek bardziej się zachmurzył. Mimo wszystkiego, w głębi duszy tkwiło w nim zawsze przywiązanie do religji, w której się wychował, i którą mu rodzice szanować nakazali. Gdy nieprzyjaciel katolizmu nie przestawał szydzić, Jasiek nagle zawołał:

— Milcz!

— Milcz ty polska świnio! — Niemiec mu odpowiedział.

Jasiek zerwał się czerwony jak burak, kufel świsnął w powietrzu, obryzgując ucztujących resztą piwa, i Niemiec padł na ziemię krwią oblany.

Co się dalej działo, dokładnie sobie nie przypomniał. Ledwie jeszcze tylko pamiętał, że pierwszym, który się nań rzucił, był największy jego przyjaciel, pan wachtmistrz Wanke, że za nim przyskoczyli inni, że on, Jasiek, bronił się jak wściekły, że bił i ryczał, że coś go w boku zabolało, a w oczach zrobiło mu się nagle ciemno, nakoniec, że jak długi na ziemię runął.

Gdy się obudził, ujrzał się w szpitalu.

W pierwszej chwili nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze swego położenia; dopiero gdy mu lekarz powiedział, że otrzymał niebezpieczne pchnięcie w piersi, poznał niestety jakiej wartości była przyjaźń pana wachtmistrza. Sprowadził go do Berlina, obdarł z pieniędzy, które on znowu podstępnie wydarł ojcu, a potem z przyjaciółmi omało go nie zamordował... Gdy w gorączkę zapadał, a powtarzało się to z początku co dzień pod wieczór, wszystko co go dręczyło, przesuwało się przed wzrokiem jego duszy, w kształtach strasznych, acz nie całkiem wyraźnych. I wtedy widział jak proboszcz wypędzał go z zakrystji za *Gut morgen* — słyszał płacz matki — bił się z ojcem przy skrzyni — widział jak Silber w ręku trzymając weksle fałszywe ścigał niemi rodziców, uciekających z własnego domu — słyszał huk dzwonów, jęki swoich młodszych braci i wiele innych rzeczy równie przykrych, które jednak rozpływały się w mgle, gęstej a czerwonej, jakby krwią przesiąkłej...

Rano, gdy się przytomny budził, z krwią, co mu się z rany sączyła, wyciekało wiele z tych rzeczy, z któremi nie przyszedł na świat, bo one dopiero później weń wsiąknęły. I wtedy wstydził się okrutnie, że dla ludzi, co do ostatnej chwili nie uznali go za swego, porzucił tych, którzy mową, wiarą i krwią byli mu najbliżsi! Lecz im bardziej się wstydził, tem większy także żal czuł do matki, bo aby choć w części siebie usprawiedliwić, ciągle w duchu powtarzał... Gdyby nie ona, nie byłby szedł aż tu, do szpitala!...

A ona, biedaczka, nie wiedząc o tem, zapłakana i drżąca zbliżała się teraz do łóżka, na którem jej syn leżał. Gdy go ujrzała, z krzykiem chciała rzucić się niego. Służba jednak temu przeszkodziła, i dopiero, gdy się uspokoiła, lekarz pozwolił jej przywitać się z synem.

— Jasiek! Jasiek! Co się tobie stało! jęknęła.

Wsparł się na łokciu, bo od dni kilku stan jego zdrowia znacznie się już był polepszył, i na nią patrząc, odpowiedział:

— Matko! matko! na co nam tego było?!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Piosnka i kwiatek.

— Tyle książek! — wykrzyknęła,
Uderzając w dłonie białe —
Tyle książek u człowieka,
Co piosenki tworzy małe!

Taki warsztat kolosalny,
A tak drobne jego dzieła!...
I ze śmiechem, parasolką.
Grube tomy liczyć jęła.

— Pani — odrzekł — racz uprzejmie
Wzrok obrócić w inną stronę:
Oto drzewko — w płaszcz je bujny
Stroją liście niezliczone.

Gąszcz ma spodem, a u szczytu
Tylko jedno wonne kwiecie...
Wspólne prawo, proszę pani,
Rządzą w książek i drzew świecie!

W. G.

HENRYK SZCZERBA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

WALERJĘ SOLECKĄ

odznaczona zaszczytną wzmianką na konkursie „Kurjera Warszawskiego."

(Ciąg dalszy.)

XII.

Dni i tygodnie upływały znowu spokojnie zwykłym trybem a czas ścierał ślady tej chmury, co zawisła była nad Szczerbą grożąc mu ruiną i gorszym od niej wstydem, powalonej w proch uliczny dumy, ambicji wystawionej na urąganie ludzkie, przekleństwa i ślinę pokrzywdzonych.— Wszystko to rozpłynęło się, rozwiało, jak zmora, wraz z brzaskiem dnia... nie pozostało ani śladu z tej zachwianej chwilowo karjery w pamięci ludzkiej. — Szczerba świetną mową w parlamencie odzyskał zaufanie stronnictwa, które go wynosiło pod niebiosy. „Zgoda", wszechpotężny organ partji śpiewała na cześć jego hymny pochwalne — a nawet w domu zapanował teraz spokój i ład, jakich od dawna nie było.

Ema unikała teraz zebrań i zabaw, nie bywała nawet w teatrze, dni całe spędzała z małym Olkiem, który drobnemi rączkami wieszał się na szyi mamusi. albo w kościele, w którego ciszy i spokoju rozmiłowała się bardzo. Dla Henryka miała niezwykłą łagodność, uległość nawet; zgadywała prawie jego życzenia.

Wieczór ów spędzony u Oskara, wywołał w niej gwałtowną zmianę — ustami dotknąwszy zaledwie kielicha rozpusty, poczuła jego męty, przenikło ją to na wskróś odrazą i wstrętem, drżała teraz i rumieniła się ze wstydu na wspomnienie tej chwili. Rozmyślała teraz nad swojem życiem dni całe, spędzając czas z Olkiem bawiącym się u jej nóg. Przerzucała jednę po drugiej karty tego życia: młodość szczęśliwą i bez troski, potem krótkie dwie miłości a po nich następowały: rozczarowanie i samotne życie przy boku Szczerby, któremu nie mogła nic zarzucić, jak tylko to, że jej nie kochał. Puste to życie stawało przed jej oczyma pełne śmiechu, błyszczących gałganków, bezmyślnej wrzawy i mężczyzn oblegających ją dla zbycia kilku chwil miłostki, wszystko aż do owej ostatniej nocy, w której przypadek otworzył jej oczy. Ogarniał ją niesmak i żal, przyciskała wtedy namiętnie do swej piersi śpiącego Olka lub skradała się na palcach do pokoju męża, który siedział przy lampie z głową wspartą na obu rękach, nic nie robiąc z oczyma utkwionemi w jeden punkt. Nie śmiała tam wejść lecz śledziła go i dostrzegła w Heryku niepokój dziwny, troskę nie opuszczającą go ani na chwilę; zewnętrznie nawet zmienił się: pobladł, usta skrzywiło mu nerwowe drganie, włosy w około skroni zaczynały siwieć. Miewał teraz wybuchy gwałtownego gniewu, niecierpliwiła go lada drobnostka, po nocach nie sypiał a kroki jego rozlegające się wśród ciszy nocnej budziły ją ze snu. Czasami przychodził do pokoju żony, siadał milczący, wpatrywał się w nią długo jakby jej chciał co powiedzieć i odchodził nagle z głową pochyloną. Kobieta drżała w takich chwilach, przypuszczając że to może ona jest tej zmiany powodem, że wie o jej schadzce, że podejrzywa ją.

Tak upływał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, spokojnie na pozór, lecz w istocie ciężko jak kamień spadający w przepaść bezdenną. Henryk cierpiał męczarnie zwiększające się z dniem każdym. W szufladzie biurka leżało ostęplowane i zaadresowane ręką jego podanie o koncesję obok pakietu zawierającego plan szkoły spisany nerwowem pismem Michała Liczki. Henryk wpatrywał się w nie godzinami całemi często wśród nocy, nie mogąc od nich wzroku oderwać; wzdłuż grzbietu czuł przenikliwe zimno a nerwy rozstrojone bezsennością wytwarzały snujące się po kątach widma tak, że wzrok niespokojny rzucał po całym pokoju i drgał za najmniejszym szmerem. W końcu zamykał na klucz szufladę, czekając z niecierpliwością dnia, w którym papiery te wyjdą nareszcie z tej skrzynki; lecz tydzień po tygodniu upływał a one spoczywały tam jeszcze, oglądane tylko wzrokiem Szczerby, który z jakąś manją powracał do nich i przyglądał się im coraz to częściej.

Pieniądze Liczki posłużyły do zaspokojenia wierzycieli i uregulowania egzystencji Henryka. małą ich część trzydzieści tysięcy włożył w przedsiębiorstwo kolejowe w spółce z bankierem X. w nadziei, że tą operacją odzyska w krótkim czasie kapitał Liczki.

Przedsiębiorstwo w istocie okazało się zyskownem ale potrzeba było miesięcy, lat całych i to lat ciągłego powodzenia, ażeby drobny ten kapitał rozmnożył się i doszedł do swej pierwotnej cyfry.

Szczerba nie miał teraz odwagi rzucać się w hazardowne przedsiębiorstwa a każde najmniejsze niepowodzenie, najdrobniejsza strata, o której się dowiedział, przejmowała go trwogą, wzbudzała śmiertelny niepokój i zgryzoty. Dni wlokły się powoli, ogarniała go gorączka niecierpliwości, jak więźnia zamkniętego w murach z nadzieją ucieczki w głowie i kującego zwolna śród nocy mur gwoździem lub tępym nożykiem.

Słowa Liczki brzmiały mu ciągle w uszach, widział twarz jego bladą z gorejącymi oczyma i wyrzutem na ustach. Szczerba całe życie nie zważając na innych szedł naprzód, nie myśląc o tem, że może serce czyje zakrwawi, że pozostawi za sobą żal i łzy. Służył partji którą uznał za silniejszą ale zrobił to z przekonania, że działając inaczej, postąpiłby jak marzyciel, który sobie samemu nie zdoławszy uścielić wygodnego łoża i drugim też nie przysporzy korzyści. Nie liczył się z sercem, był egoistą ale przez długie lata nie rozminął się z prawem, z ścisłym kodeksem moralności dziesięciu przykazań, który ostatecznie jest szalą wartości moralnej człowieka w życiu publicznem. Owładnięty żądzą ambicji deptał nieraz innych na swej drodze, ale uważał to za rzecz konieczną, powtarzającą się ciągle, za prawo przyrody, mocą którego silniejszy pożera słabszego, a niebezpieczna ta droga zawiodła go nieznacznie w manowce, obłąkał się, zaplątał, posunął się aż do naruszenia cudzej własności.

Te pieniądze Michała Liczki, to już nie pieniądze przyjaciela, ale własność publiczna; wziął je w formie pożyczki, wierząc w chwili grożącego mu niebezpieczeństwa, że za dwa, trzy dni, za tydzień najdalej odzyska je, położy na dawnem miejscu a wtedy gorliwiej jeszcze odda się sprawie Liczki. A te pieniądze nie wracały, wprzągnięte napowrót do pracy, pracowały tak zwolna, tak leniwie, kiedy on spędzał noce bezsenne, oblany potem i byłby chętnie krwią własną je polewał, byle się mnożyły. W uszach brzmiały mu ciągle słowa Liczki: spieszę się, spieszę, czas pędzi jak wilk głodny.

I stawało mu przed oczyma życie przyjaciela twarde, poświęcone jednej tylko myśli, aż do wyrzeczenia się szczęścia, najgorętszych pragnień i praw serca. A obok tego Liczki, którego tylekroć zwał marzycielem, widział siebie i całe swe życie. Sądził siebie teraz surowo; myśl jego wśród bezsennych nocy pracując z wytężeniem, wysnuwała z faktów przeszłości z nieubłaganą logiką wyrok potępienia. Skoro zwątpił w prawdę i prawość hasła, wedle którego żył i walczył, tem samem naga prawda stawała mu przed oczy; teraz Szczerba uwierzył, że po nad egoizm i zrozumienie własnego interesu są wyższe prawa rządzące człowiekiem, z któremi mijać się nie wolno. Z kolei w myśli jego stawało pytanie czy zawsze działał zgodnie z przekonaniem? Odpowiedź brzmiała, że przekonanie naginał do powziętej z góry maksymy; że rozszerzał pismem, słowem, czynem zasady zgubne, szkodliwe, przewrotne, że siał i szerzył zepsucie. Ogarniały go coraz silniej niesmak głęboki, niezadowolenie z samego siebie i wstyd, nikt też surowiej nie potępiał nigdy Henryka Szczerby, jak on sam siebie wśród ciszy bezsennych nocy. Gdyby był mógł jednym zamachem ręki przekreśliłby wszystko co kiedykolwiek uczynił, o co walczył całe życie swoje, ażeby je rozpocząć na nowo.

Ale było już za późno. Nieubłagane fatum własnych jego czynów zawisło nad nim! Dolary Mary lśniły czerwonawym blaskiem.

„Spiesz się, spiesz“ — szeptał Liczko, a Szczerba zrywał się z krzesła i jak szaleniec przebiegał swój gabinet jak gdyby szybkość kroków przyspieszyć, mogła pracę pieniędzy i zwrot kapitału.

Wiosna nastała z całą swą zielonością, błękitną obfitością kwiecia i tem ożywczem tchnieniem powietrza, mającem moc nadzwyczajną; w Praterze witano jej powrót świętem kwiatów.

Słońce znowu napełniało złotemi falami powietrze ulic miasta, tłum ludzi bardziej ożywiony niż zwykle, gęstszy, zuchwalszy płynął bezustannie; jasne tualety kobiet i twarze uśmiechnięte promieniały na słońcu, gwar śmiechów i głosów mięszał się z radośnym krzykiem ptactwa przeciągającego po nad miastem i wtórzył szumowi spienionego Dunaju. Koronkowe chusteczki, to charakterystyczne ubranie głowy wiedeńskich dziewcząt z ludu, powiewały na rogach ulic jak skrzydła gołębi i jaskółek, któreby przypadkiem usiadły na włosach kobiet.

W godzinie południowej Ema siedziała w swym pokoju przy otwartem oknie, z którego rozpościerał sie widok na ogród i drzewa okryte pierwszą najświeższą zielonością; krzaki angielskiej trawy strzelały z ziemi długimi i zielonymi włosy, narcyzy w białych swych kołnierzach okrągłych srebrzyły się w słońcu, kasztany i klony puszczały dopiero pąki, które obsiadły gęsto ich gałęzie jak różowe, brązowe i ciemnoczerwone kulki pękające w promieniach słońca. Woń ich ostra, świeża unosiła się w powietrzu i wpadała aż do pokoju. Ema wychyliła głowę na słońce, przypatrując się szybującej parze jaskółek, cała ta niezmierna wesołość wiosny budziła w niej rzewność i smutek którym poddawała się chętnie. Na kolanach trzymała Olka; malec stał prosto, z główką dumnie podniesioną, z wydętemi ustami, obie okrągłe różowe rączki schował w rękach matki a uśmiechniętą buzią całował twarz jej i szyję Chłopak bardzo podobny był do ojca: oczy, czoło, brwi też same i takież jak u Szczerby wykrojenie ust, które zaledwie umiały wymawiać parę słów a już zaciskały się wyrazem dumy i stanowczości.

— Pamiętaj Olku! bądź zawsze dobrym chłopcem, bądź szlachetnym człowiekiem — mówiła półgłosem Ema gładząc długi włos chłopca, spadający na ramiona w puklach jasnych tą złotawą miękką jasnością, którą znaleść można tylko na główkach dziecięcych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kobiety na zachodzie.

Mieszkańcy wysepek Koralowych na Oceanie Spokojnym instynktowo odgadli, że z chwilą przeludnienia wysepek zagraża całej ludności śmierć głodowa. Ażeby uniknąć tego smutnego losu, prawo zwyczajowe tam panujące nie pozwala kobiecie mieć więcej dzieci, niż 2—3. Nadto ciąży na niej, smutny i wstrętny dla nas, obowiązek zabijania potomstwa zaraz po urodzeniu lub jeszcze w zarodku. Lecz niemowlę, gdy uda mu się przeżyć kilka godzin, jest już ocalonem. Ten okrutny w naszych pojęciach sposób ratuje byt całego społeczeństwa.

Stara Europa nie rządzi się takiemi zasadami; to też np. na każdą rodzinę angielską wypada przeciętnie sześcioro dzieci, z tych zaś tylko dwoje należy do płci męzkiej, czworo natomiast do żeńskiej. Jest to stosunek przerażający; tem bardziej groźne są jego następstwa pod względem społecznym, a zwłaszcza ekonomicznym.

Wprawdzie anglicy, naród, który uważa za grzech wchodzić w dzień świąteczny do szynku od ulicy, ale zapija się na śmierć w izbie od podwórza, pocieszają się tem, że już biblia przepowiedziała taki stan rzeczy. Istnieje w niej podobno taki ustęp: „I siedm kobiet uchwyci onego czasu jednego mężczyznę i powie mu: Same będziemy się żywić i same postaramy się o przyodziewek, pozwól nam tylko do ciebie należeć“. Statystyka wykazuje, że Anglia liczy pół miliona kobiet więcej, aniżeli mężczyzn; Londyn ma niemal dwa miliony samych niewiast, na jednego zaś nie żonatego mężczyznę przypada siedem panien.

Ten stan zwrócił na siebie uwagę ludzi poważnie myślących; od lat wielu tedy powstało mnóstwo stowarzyszeń, przeważnie niewieścich, które mają na celu usuwać złe skutki takiego przeludnienia kobiecego, o ile to leży w mocy ludzkiej. Jest rzeczą godną uwagi, że angielki nie posiadają zupełnie owej rzekomej wstydliwości, o której opowiadają na stałym lądzie. Przeciwnie, rządzą się one daleko większą otwartością, aniżeli niemka lub polka, w sprawie małżeństwa. W ich pismach nie znajdziesz zapalczywych tyrad, wygłaszających, że małżeństwo jest jarzmem. Każda kobieta w Anglii stanowczo oświadcza, że pragnie wyjść za mąż, gdyż ma do tego wszystkie prawa; stare panny zaś są jedynie ofiarą złych stosunków ekonomicznych, które obecnie wszystkim dają się we znaki. Tym ostatnim przecież służyć powinno inne prawo, a mianowicie pracy. Około zdobycia go krzątą się ciągle dużo związków, które z dniem każdym zbliżają się do wytkniętego celu. Zaznaczmy przytem że i na tem polu kobiety rozwijają gorączkową działalność, przechodzącą nieraz w dziwactwo Londyn gości w swych murach 161 klubów, których członkami mogą zostać wyłącznie panie. Z tych jest 28 czytelni; prócz tego trzynaście stowarzyszeń udzielających pomocy kobietom piszącym szkice historyczne i literackie monografie, osiem towarzystw zajmuje się wydawaniem miesięczników i tygodników, poświęconych kobietom. Lecz rów-

nież istnieje osiem kółek muzycznych, których uczestniczki schodzą się tylko na wspólne ćwiczenie w grze fortepianowej, siedemnaście wreszcie, które zmuszają i zobowiązują zapisane damy... do wczesnego wstawania.

Rzućmy teraz okiem na pole pracy.

Tutaj przedewszystkiem wymienić należy piśmiennictwo. Chętnie czytaną i zyskowną jego gałąź, powieść, zagarnęły w Anglii niemal całkiem kobiety. I tu leży zapewne przyczyna, dla której angielskie utwory beletrystyczne przypominają tandetę, sprzedawaną przez handlarzy. Dawniej, za czasów Dickensa i Thackeraya, było inaczej. Zresztą i śród kobiet przed laty kilkudziesięciu, kilkunastu nawet, zdarzały się pierwszorzędne i oryginalne pióra. Ujmowały je tylko te, które czuły do tego niemal bezwiedny popęd. Mary Edgworth i Jerzy Eliot pisały powieści dlatego, że miały wiele do powiedzenia ogółowi. Życie ostatniej nie starczyło nawet, by w pięknej i artystycznej szacie oddać wszystkie podniosłe myśli i uczucia, wrące w jej sercu i głowie. Jej listy, ogłoszone przez p Cross, przedstawiają kopalnię, w której niejeden beletrysta może znaleźć potrzebny materyał do tworzenia. Obecnie, niestety dzieje się inaczej. Są kobiety, umiejętnie lub średnio wykształcone, które nie czują ochoty, ani siły do żmudnego nauczycielstwa. A tu trzeba żyć. Obierają więc literaturę za źródło dochodu. *British Museum* przeznaczyło kilkanaście osobnych stołów dla czytelniczek. Są one wiecznie zajęte, nadto zaś mnóstwo kobiet siedzi pospołu z mężczyznami. Z ksiąg czerpią powieściopisarki natchnienia do swych zawsze trzechtomowych utworów, nic więc dziwnego, że z pod ich pióra wychodzą postacie znane, spłowiałe i przenicowane

Istnieją przecież i inne działy, w których kobiety nie tylko zdobywają utrzymanie, lecz oddają społeczeństwu wielkie usługi. Wychowanie małych dzieci wyłącznie, szkoły dla starszych w znacznej części i kilka katedr uniwersyteckich spoczywa w niewieścich rękach. Nadto owładnęły one służbą zdrowia w szpitalach wszelkiego rodzaju.

Początkowo uczyły tylko w szkołach ludowych i przewodniczyły ogródkom freblowskim; zwolna przecież same zapragnęły gruntowniejszego wykształcenia i profesorskiej godności. Z ciała nauczycielskiego wyższych szkół kobiecych pousuwały mężczyzn, a nadto zdobyły sobie równe z nimi prawa w uniwersytecie. W Londynie, Oxfordzie, Aberdeen, Edynburgu i Dublinie słuchają wykładów wspólnie ze studentami, tylko mieszkać muszą w oddzielnym budynku. Liczne stypendja i nagrody uwieńczają pracę najpilniejszych studentek. Najpilniejsze zdobywają nawet posady asystentów.

Służba zdrowia rozwinęła się w Anglii niezmiernie od czasu, kiedy zaczęły garnąć się do niej kobiety inteligentne. Dawniej z pogardą spoglądano na dozorczynie chorych, uważano je za kobiety upadłe. Zwolna przecież ów przesąd zniknął. Dzisiaj pielęgnowanie chorych stało się umiejętnością i pięknym, a szlachetnym zawodem. Przejście od dozorowania do leczenia było takim samym krokiem, jak od szkół elementarnych do uniwersytetu. Ogół patrzy jeszcze nieco nieufnie na doktorki; rząd atoli popiera ten ruch wszelkiemi siłami. *London School of Medicine for Women* rozporządza znacznymi środkami materyalnymi i cieszy się znaczną liczbą studentek. Do rady zarządzającej należy kilku arystokratów, a nawet biskup londyński. Każda uczenica wraz z dyplomem dostaje prawie natychmiast i miejsce. Nie zawsze uda się pozostać w Londynie przy nowym szpitalu kobiecym lub podobnych na prowincji; często trzeba jechać do Indyj. Szpitale w Bombay, Madras i Lahore liczą śród swego lekarskiego ciała znaczny procent kobiet. Zapewniony przecież własnemi siłami byt materyalny dodaje odwagi do podróży w dalekie strony.

Brak nam cyfr, żeby wykazać udział kobiet w pracy przemysłowej, lecz i tutaj jest on bardzo wielkim.

Zajrzyjmy do Niemiec. Skarżono się już od dawna w tej ojczyznie filozofów na upadek stanu profesorskiego. Czytaliśmy kilka obszernych broszur i mnóstwo artykułów dziennikarskich, w których wykazywano, za pomocą wiarogodnych dowodów, że katedry uniwersyteckie w Niemczech dostają się zazwyczaj karyerowiczom. Tych zaś zalecają nie zdolności, nie usilną pracą zdobyta wiedza, lecz giętki kark i umiejętność „przystosowania się“ do danych warunków. Wybitnym typem tego rodzaju ludzi jest H. von Treitschke, historyograf pruski, o którym pisał Jarochowski w szkicu p. n *Historya na usługach polityki.* Niedawno w tej sprawie literat niemiecki Flach zabrał głos w *Magazin f. L.* Oświetla on tę sprawę z innej strony. Twierdzi bowiem całkiem poważnie, że przyczyną obniżenia się wartości profesorów, szczególniej w mniejszych uniwersytetach, są... kobiety.

Oto krótkie streszczenie jego obszernych wywodów:

Niemal każdemu uczonemu brak praktycznej znajomości życia. Rzucony w wir spraw bieżących, przedstawia smutny widok ryby, miotającej się na piasku. W domu więc przewodzi nad nim żona która powoli zdobywa sobie nad małżonkiem przewagę i w jego własnym zawodzie. P. Flach przytacza przykłady, że w mniejszych uniwersytetach wszyscy interesanci zamiast do profesora udają się do żony. Kto doktoryzuje się, prosi jej, żeby męża przychylnie usposobiła dla rozprawy docent zaś, dobijający się o katedrę, błaga o dobrą notę do ministerjum i pochlebną ocenę wydanego przez siebie dzieła. Ktokolwiek więc z docentów pozyskał sobie żonę swego profesora, ten w następstwie obejmował po nim katedrę. Byli tacy, którzy wysługiwali się po lat kilkanaście tym paniom rozmaicie, w nagrodę zaś za tę służbę mogli potem uczyć młodzież, przyszłe podpory społeczeństwa. Ci natomiast którzy więcej cenili własną godność, do śmierci pędzili smutne życie bezpłatnych docentów.

Powaga pisma, które ów artykuł (*Die akademische Frau*) pomieściło, zmusza nas przypuścić, iż w skardze p. Flacha na kobiety niemieckie w ogóle, a żony profesorskie w szczególności, tkwi choć jedno ziarnko prawdy.

A. N.

Kronika literacka i artystyczna.

Literatura.

Encyklopedja rolnicza rozpoczęła wychodzić w Warszawie nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Pierwszy zeszyt tej pożądanej publikacji już opuścił prasę. Współpracownictwa podjęli się fachowi znani pisarze na niwie rolniczej i społeczno ekonomicznej.

Teatr i muzyka.

Teatr lwowski. Z nowości przedstawionych w dniach ostatnich, na uwagę zasługuje 4. aktowa komedja p. Zygmunta Przybylskiego pt. „Dwor we Władkowicach“. Tak jak poprzedn e utwory tego pisarza, tak i ostatnia komedja odznacza się kilku scenami pełnemi życia i szczerego humoru, które ratują całość pozbawioną silnej podstawy i błędnie zbud waną. „Dwor w Władkowicach“ nie dorównał ani „Wickowi i Wackowi“ ani „Państwu Wackom“, pierwszym utworom p. Przybylskiego ani pod względem inwencji, ani szczęśliwie przeprowadzonej akcji Dobrze pomyślanych i przeprowadzonych kilka scen i figur wynagradzają częściowo te braki i przy prawdziwie znakomitej grze artystów lwowskich, może k media p. Przybylskiego obiecywać utrzymanie się dłuższe w repertoarzu

Saint Saëns opracowuje jeszcze najnowszą swoją operę „Ascanio", która jak wiadomo, śpiewaną będzie podczas wystawy światowej. Partję tytułową wykona, niepodzielnie królujący w operze paryskiej Jan Reszke.

Paderewski wystąpił w Wiedniu 10. bm. z Luccą w koncercie na rzecz biednych w Ischl. Artysta nasz odegrał „Węgierskie fantazje" Liszta. Krytyka wiedeńska jednogłośnie uznaje w nim świetne wirtuozostwo.

Sara Bernhardt występuje obecnie, wraz z swojem towarzystwem złożonem z 30 osób, w Pradze czeskiej. Entuzjazm Czechów dla francuzkiej artystki przeszedł granice zwykłego uwielbienia dla talentu dramatycznego, choćby tak genialnej artystki, jaką jest Sara i przemienił się w manifestacją narodowych sympatji i politycznych interesów.

Adelina Patti mianowaną została oficerem paryskiej akademji sztuk pięknych.

Sztuki plastyczne.

P. Franciszek Żmurko, ukończył nowy obraz zatytułowany „Otrucie w haremie". Utwór ten pojawi się za dni parę na jednej z warszawskich wystaw.

Kronika powszechna.

Na pomnik Mickiewicza. Dr. Sękowski z Warszawy nadesłał do Krakowa parę tysięcy kilogramów rozmaitych ułamków metalowych, pod adresem Muzeum Narodowego, jako materjał na odlew pomnika dla Mickiewicza.

Skarb narodowy pozostający pod opieką Tow. „Zjednoczenie Polaków" w N. Jorku wynosi obecnie 5·290 dolarów.

W Kole literackiem lwowskiem odczytał 10. bm. malarz p. Makarewicz, wspomnienia swoje z czasów akademickich w Wiedniu, Monachium i Paryżu. Rzecz pod względem formy słaba, zajęła słuchaczy nieźle uchwyconą charakterystyką wybitniejszych artystów. Na tymże wieczorze odczytał artysta dramat p. Wołeński kilka pięknych przekładów z Bajrona i Wiktora Hugo, dokonanych znanem piórem Wiktora z Baworowa.

„W czytelni dla kobiet" we Lwowie odbył się 16 bm. odczyt pani Pauliny Reinschmittowej pt. „Najnowsze postępy w zakresie kwestji kobiecej".

W lwowskiej czytelni akademickiej zawiązane zostało w tym miesiącu kółko prawnicze, które programem swej działalności obejmować będzie wszystkie 4 lata studjów prawniczych.

Nowy konkurs piękności kobiecych odbędzie się niebawem w Turynie. Nagrody mają być większe niż w Spaa. Konkurs ten jest głównie wynikiem zazdrości. Włoszki bowiem, mające się za najpiękniejsze kobiety i używające rzeczywiście sławy w tej mierze, czują się dotkniętemi, iż żadna z włoskich piękności nie została odznaczoną na konkursie w Spaa.

Zmarli.

† Ks. Stefan Kaczała jeden z najwybitniejszych ludzi ruskiego obozu narodowego, zmarł w Szelpakach pow. Zbarazkiego. Ks. Kaczała posłował do Sejmu i do Rady państwa z pow. Bocheńskiego, popierany usilnie przez Polaków, witających w nim prawego syna Rusi, dążącego do utrzymania obu bratnich narodowości w zgodzie i zachęcającego do wspólnego działania na polu odrodzenia narodowego. R. i p. — W Krakowie zmarł 10 bm. dr. Jonatan **Warschauer**, żyd, zacny patrjota; zostawił na cele publiczne liczne zapisy. — W Wiedniu zmarł znakomity profesor Wydziału medycznego, **Bamberger** znany z cennych naukowych dzieł. — Karol **Barco** weteran sztuki dramatycznej zmarł w Wiedniu. — W Poznaniu zmarł Wandalin **Wodpol** żołnierz z r. 1830; prawy obywatel. — Znakomity podróżnik rosyjski Mikołaj **Przewalski** zmarł w pierwszych dniach bm.

Łamigłówka.

Raki — park — tracz — rano — trawa — koran — skała — potas —

Z powyższych słów utworzyć inne i tak je uporządkować, by początkowe litery dały nazwisko sławnego poety.

Kwadrat magiczny.

a	a	a	a	a
a	d	o	o	o
o	p	p	p	r
r	r	s	w	t
t	w	w	y	y

1) Kara, 2) Rzeczka, 3) Dał się Polsce we znaki, 4) Stworzenia, 5) Mąż występujący w wojnie trojańskiej

Kryptogram.

1. generał polski.
2. czasokres.
3. roślina.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **powieść J. Rogosza „Pokuta."**

Rozwiązanie repertoaru teatralnego.

Dw | **a** | j dragoni
Pa | **n** | i Fawart
Ri | **g** | olleto
Op | **o** | wieści Hoffmana
Fa | **t** | inica

Sobuta — **Angot.**

Rozwiązanie zadania pomnikowego.

I **w** ł a
I r **i** s
A n **g** l i a
F e n **i** k s
a **l** f a
k l **i** n
B **a** t u
B a t **o** r y
S t o **p** n i c a
W i e t **ł** u g a
P a r **a** g u a y
N o w y **t** a r g
P a l **e** n d r a
L u d w i **k** a n n a

Wigilia — opłatek.

Rozwiązanie zadań nadesłali: Wanda Kopacz ze Stanisławowa, Emilia Niemczewska z Kozaczówki, Stanisław Faliszewski z Niżankowic.

Po zarządzonem losowaniu nagrodę otrzymała **Emilia Niemczewska** z Kozaczówki.

Korespondencje od Redakcji.

P. L. T. w P. Dla ukończenia powieści „W śmiertelnych zapasach" w grudniu br. drukujemy ją obecnie ściślym drukiem.

P. F. Sich. w Tarnowie. Dziękujemy, skorzystamy w jednym z przyszłych numerów.

P. St. Falisz. w Niżankowicach. To się pokaże w drugiej części.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Błotnicki. Z drukarni nar. W Manieckiego, zarządca Walenty Hodak.